Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 45

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

Dobra powieść

Dramatyczność i fatalizm.— Kompozycja.— Koncepcja intelektualna.— Narracja

Granica Zofji Nałkowskiej jest książką wybitną. Sposób osadzenia nieśmiertelnego tematu (trójkąt miłosny) w środowisku współczesnem i wysoka kultura artystyczna, to zalety dzieła. Fatalność przelotnej miłostki, łamiącej życie Zenona Ziembiewicza, przedstawiła autorka z dużym talentem narracyjnym. Porwani tokiem opowieści, zasugerowani świetnemi epizodami, odczuwamy jednak w rozwoju tragedji „bohaterów" pewien niedostatek.

Jaki?

Dramatyzm *Granicy*, będący jej głównem założeniem artystycznem, nie posiada należytej logiki wewnętrznej. Są wprawdzie pozory fatalności prześladującej Ziembiewicza, ale niezupełnie przekonują one czytelnika, gdyż autorka zbyt wiele kładzie na karb przypadku. Nie chodzi tu bynajmniej o tzw. zgodność z życiem ani o prawdopodobieństwo. Sztuka wymaga jedynie literackiej motywacji faktów i ich następstwa; otóż ten postulat nie został w *Granicy* spełniony tak, aby dawał pełnię fikcji estetycznej.

Fatalizm losu Ziembiewicza jest niepokojący. Dzięki przypadkom (spotkanie Justyny tuż po powrocie z Paryża, przypadkowy kontakt Elżbiety z Justyną) na drodze Ziembiewicza i Elżbiety Bieckiej staje dawna kochanka „bohatera". Wdzieranie sie Bogutówny w pożycie małżeńskie Ziembiewiczów nie ma dostatecznej motywacji psychologicznej. Zenon nie jest typem tak wrażliwym, ani etycznie skrupulatnym, żeby stara miłostka mogła mu zepsuć spokój. Humanitaryzm Elżbiety i jej współczucie dla Justyny jest niespodzianką. Zrazu autorka charakteryzuje Elżbietę jako złą, niegrzeczną dziewczynę i pozbawioną zdolności uczenicę:

„Nie umiała sama zrobić najgłupszego zadania, a zachowywała się tak, jakby była mądrzejsza od niego (Zenona). Była złośliwa i niegrzeczna". „Obok szła mała, niechętna i zła mieszkanka tego domu i tego ogrodu, Elżbieta Biecka..." (s. 14).

Nagle, po nieudanym romansie z Awenowiczem, o czem autorka wspomina tylko mimochodem, panna Biecka staje się dobrą i czułą, tkliwą filantropką, a nawet chce się wyrzec Zenona, który jej zdaniem należy do Justyny Bogutówny.

Justyna niszczy szczęście Ziembiewiczów, jakby mimowoli. Działa ona samym faktem swego istnienia; dopiero pod koniec mści się na Zenonie, gdy już życie jego było i tak zdruzgotane wyrzutami sumienia.

Fatalizm w *Granicy* nie ma powagi jakiejś nadprzyrodzonej siły, nie wynika też naturalnie z sensu wydarzeń, ze splotu warunków społecznych i psychologicznych. Zakrawa on raczej na kobiecą bierność. Ludzie w *Granicy* nie walczą, są pozbawieni energji osobistej i woli. Nawet Ziembiewicz grzęźnie w bierności, nie umiejąc rozciąć powikłań miłosnych. Rozruchy bezrobotnych w przedostatnim rozdziale powieści mają tylko charakter sztafażu.

Dramatyczność akcji, osłabiona przez brak konieczności katastrofy, została zatarta wskutek kompozycji dzieła. Rozdział wstępny, napisany stylem notatki kronikarskiej, podobnie jak Zakończenie, odsłania tragiczny koniec Ziembiewicza. Autorka, dążąc do oryginalności przesubtylizowała kompozycję powieści. Rozdział wstępny może być uwerturą, może zawierać motywy, rozwijające się w dalszym ciągu dzieła, ale nie może uprzedzać o rozwiązaniu, gdyż wpływa to ujemnie na rozwój napięcia dramatycznego

Koncepcja intelektualna powieści jest dość naiwna w swym humanitaryzmie. Określenie symbolicznej „granicy" — słuszne, ale niezbyt oryginalne:

„...chodzi o to, że musi coś przecież istnieć. Jakaś granica, za którą nie wolno przejść, za którą przestaje się być sobą" (s. 381).

Uogólnienia filozoficzne i socjologiczne mają czasem charakter zręcznych dowcipów. Oto np. autorka ironicznie określa stosunek gastronomji do metafizyki:

„Czy paradoks zimnych lodów w gorącem cieście czy kruchość skórki na indyku, czy chłodny aromat sarniny, przekładanej płatkami ananasa — to wszystko wzmacniał jeszcze bukiet win, dobranych z wiedzą protokułu i higjeny. Zamykał całą sprawę proces asymilacji, wprowadzenie tych treści i wartości w spokojny krwiobieg rasowego organizmu, *przetwarzanie ich zgodnie z prawami przemiany materji w wybredny stosunek do życia i jego spraw, w idealistyczny światopogląd powszechnej celowości i harmonji, w metafizyczne kryterja sądów moralnych*" (s. 57). Spokój i objektywizm tej satyry na wytworne towarzystwo pp. Tczewskich przypomina — mutatis mutandis — *Sprawę Dołęgi* Weyssenhoffa. Tylko bieg ideowy refleksyj Nałkowskiej jest zupełnie inny.

Główna wartość *Granicy* tkwi w realistycznej narracji. Na tle neorealizmu powieści polskiej w ostatniem dziesięcioleciu, jasno występują takie cechy *Granicy*, jak umiar nastrojów, precyzja i rzeczowość przedstawienia literackiego. Żadnych wybuchów ani wykrzyków, żadnej melodramatyczności w opisach nędzy ludzkiej. Zamiast roztkliwnień — skoncentrowany, jakby przytłumiony żywioł liryzmu. Wogóle pisarze współcześni, a w szczególności autorki, wprowadzając ton głębokiego współczucia dla cierpień fizycznych i niedoli socjalnej, zachowują równy tok powieści, opanowaną dynamikę stylu. Dzięki temu wzruszenia literackie działają nie jako efekt, lecz jako afekt. Miast załamywania rąk — serdeczna troska i powaga.

Obraz stosunków i „klimatu" kulturalnego w małem mieście, ponure życie biedoty podwórkowej, tych „z pod podłogi", psychologja histerji i starości kobiecej (pani Kolichowska i jej przyjaciółki), sylwetki Czechlińskiego i Czerlona — oto zespół motywów i rysunków delikatnie wycieniowanych. Uderza w *Granicy*, skąpe użycie malowniczości; kontur, plastyka linji zastępuje kondensację plam barwnych i światła, tak częstą w naszej literaturze

Stany nerwowych niepokojów (np. złe samopoczucie Ziembiewicza, (s. 338-9), odtwarza Nałkowska znakomicie. Również wnikliwe są opisy doznań seksualnych. W tej dziedzinie powieść powojenna — obok prostactwa i brutalizmu — wniosła wiele motywów cennych, artystycznie nowych. Zwłaszcza utwory, wychodzące z pod piór kobiecych, przynoszą tu odkrycia estetyczne o znacznej wartości. Dość wskazać dzieła Marji Dąbrowskiej lub powieść Gojawiczyńskiej *Dziewczęta z Nowolipek*.

Nałkowska panuje całkowicie nad stylem. Ekonomja środków wyrazowych i powściągliwa dobitność słowa zestraja się w *Granicy* z dramatycznością fabuły. Normalny rytm opowiadania, wytrzymany do końca, tworzy celowy kontrast z nurtem narastającej katastrofy. Prostota i czystość języka uwydatnia dystynkcję i solidność stylu.

O ile konstrukcja dramatyczna powieści zawiodła, o tyle narracja jest w *Granicy* rezultatem rzetelnego kunsztu i — sumienności literackiej.

SIMPLEX

Polska w Encyklopedji włoskiej

W Rzymie, nakładem Istituto Treccani, wychodzi wspaniała Encyklopedja powszechna, nad którą pracuje cały świat naukowy włoski i wielu uczonych zagranicznych. Encyklopedja zakrojona na wielką skalę, objemie około trzydziestu tomów formatu in quarto. Wszystkie artykuły, pisane zawsze przez wybitnych fachowców, odtwarzają stan wiedzy współczesnej i są źródłem ścisłych informacyj.

Polska i sprawy polskie są w Encyklopedji opracowane bardzo sumiennie i poważnie, czego dowodem np. artykuł o Krakowie. Obecnie pod hasłem *Polonia* znajdujemy obszerną, sześćdziesiąt stron liczącą rozprawę (str. 724—784). Tekst jest bogato ilustrowany mapami, tabelkami i fotografjami, przedstawiającemi krajobrazy, architekturę, typy ludowe i sztukę polską.

Krótki przegląd treści uwidoczni najlepiej wartość informacyjna rozprawy, która wyszła też w osobnej nadbitce.

O geografji ziem polskich, ich rzeźbie, geologji i morfologji, warunkach klimatycznych i nawodnieniu pisze *Riccardo Riccardi*. Florę charakteryzuje *Fabrizio Cortesi;* faunę — *Mario Salfi;* daty demograficzne, rozmieszczenie ludności, jej skład etniczny, ośrodki zamieszkania, typy wsi, zajęcia ludności, warunki gospodarcze, bogactwa mineralne, przemysł, stosunki komunikacyjne i handel zagraniczny opracował R. Riccardi. O marynarce polskiej podał wiadomość *Pino Fortini*.

Dwie Konstytucje Rzeczypospolitej, marcową i kwietniową, streszcza i komentuje prof. uniwersytetu w Rzymie *Giovanni Maver*. O podziale administracyjnym państwa informuje R. Riccardi, o sile zbrojnej — *Luigi Chatrian*, o marynarce wojennej — *Carlo de Angelis. Bohdan Kieszkowski* pisze o wyznaniach religijnych, *Anna Maria Ratti* — o finansach. *Józef Kostrzewski*, profesor uniwersytetu poznańskiego, dał artykulik o prehistorji, a prof. Maver o historji i o języku polskim.

Sztuki plastyczne opisał Feliks Kopera. O muzyce informuje profesor uniwersytetu Jagiellońskiego *Zdzisław Jachimecki*. Prof. Maver jest autorem szkicu o literaturze polskiej. Historję prawa ujął zwięźle Stanisław Kutrzeba prof. uniw. Jagiellońskiego.

Obfita bibljografja uzupełnia treść artykułów.

Doskonałe znawstwo przedmiotu i zupełny objektywizm ujęcia — to wielkie zalety dziełka. Musimy je cenić tem więcej, że Polska niema naogół szczęścia do zagranicznych wydawnictw informacyjnych; nawet słynna Enciklopedia Britannica grzeszy — jak wiadomo — stronniczością w przedstawieniu spraw polskich.

Specjalna odbitka z rozprawy o Polsce w Encilopedia Italiana wyszła staraniem J. Czekanowskiego, Z. Jachimeckiego, F. Kopery, J. Kostrzewskiego, St. Kutrzeby, G. Mavera, R. Riccardi'ego, F. Tommasini'ego i in.

Największe uznanie należy się pracy G. Mavera, który jako profesor literatury polskiej w uniwersytecie rzymskim, czuwa nad wszystkimi artykułami, które Enciclopedia Italiana poświęca Polsce, jej kulturze i wybitnym osobistościom.

MAURICE DONNAY

7

Powrót z Jerozolimy

Sztuka w czterech aktach. — Przekład Marji Orzechowskiej

ANNA. — Moja mała Judyto, kocham cię bardzo. Wydaje mi się, że ostatnie wydarzenia i moje zwierzenie zbliżyły nas bardzo ku sobie.

JUDYTA. — Nie wątp o tem..., znaczy to, że tworzymy już tylko jedną... i to na śmierć i życie!

(Przy ostatnich słowach wchodzi Michał).

MICHAŁ. — A to ładnie.

JUDYTA. — Twoje obrazy są na swojem miejscu klejnocie?

MICHAŁ. — Tak, to znaczy, wytłumaczyłem im, jak mają być rozmieszczone.

ANNA. — A więc widziałam was, jesteście zdrowi, jesteście szczęśliwi, odchodzę zadowolona.

JUDYTA. — Mam nadzieję, że się zobaczymy niezadługo?

ANNA. — Napewno. Przyjdę pojutrze o tej porze. Zastanę was?

JUDYTA. — Będziemy cię oczekiwali.

ANNA (całując Michała). — Do widzenia, mój duży braciszku. (potem całuje Judytę). — Do widzenia moja miła bratowo.

JUDYTA. — Dowidzenia... a więc pojutrze.

(Anna wychodzi, Michał ją odprowadza, poczem wraca).

Scena 5.

JUDYTA, MICHAŁ.

JUDYTA. — Ta Anna, to urocze stworzenie.

MICHAŁ. — To ptaszek.

JUDYTA. — Z tupetem!... Ma sposób pojmowania życia, który mnie zachwyca. Uczyniła mi pewne zwierzenie... nie, to niesłychane!... Muszę ci opowiedzieć. Nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek mogła być nieszczęśliwą; bierze wszystko z najlepszej strony... i ma słuszność.

MICHAŁ (smutno). — Tak, to rzeczywiście jedyny sposób, by być szczęśliwym... należy tym usposobieniom zazdrościć.

JUDYTA. — Co ci jest?

MICHAŁ. — Nic.

JUDYTA. — Gdyście byli sami, mówiła ci oczywiście o twojej żonie?

MICHAŁ. — Tak.

JUDYTA. — Ale nic nowego?

MICHAŁ. — Jest tak, jak było... czy uważasz, że to mało?

JUDYTA. — Aha!

MICHAŁ. — Dlaczego mówisz: „aha?"

JUDYTA. — Dlatego, bo widzę... (Przerywa jej wejście Leonji, która jej podaje bilet).

LEONJA. — Ten pan życzy sobie widzieć się z panią.

JUDYTA (po rzuceniu okiem na bilet). — O, czy to możliwe?

MICHAŁ. — Kto to?

JUDYTA, (podając mu bilet). — Saul Hoendelssohn. (Do Leonji) — Prosić oczywiście.

(Leonja wychodzi).

MICHAŁ. — Czy to ten Saul Hoendelssohn, o którym opowiadałaś? Czy nie wspominałaś, że się w tobie kochał?

JUDYTA. — Tak, chciał się ze mną ożenić; ale to niema żadnego znaczenia.

(Tymczasem Leonja wprowadziła Saula Hoendelssohna. Jest to człowiek około trzydziestki, o energicznej, sympatycznej twarzy; ułożenie nienaganne)

Scena 6.

JUDYTA, MICHAŁ, LAZARE

JUDYTA, (z wylaniem). — Saul! Witam pana!

LAZARE, (spokojnie). — Dzień dobry Pani.

JUDYTA. — Czy mogłam się spodziewać, że pana dzisiaj zobaczę! (Gdy Saul kłania się przed Michałem. przedstawia:) — Michał Aubier... Saul Hoendelssohn.

(Mężczyźni podają sobie ręce).

SAUL. — Jestem szczęśliwy, mogąc panu uścisnąć dłoń... byłem pańskim przyjacielem, jeszcze zanim pana poznałem: pańska ostatnia książka „Prawo słabszego" jest wspaniałem dziełem.

MICHAŁ, (nieco zażenowany). — Oo!

SAUL. — Ależ tak jest. W każdym razie świadczy o najgorętszem współczuciu i najwspanialszej niezależności, a wiem, że pan swojem postępowaniem nie zdradza zasad, które głosi.

MICHAŁ. — Niestety! Sam nie jestem tego pewien.

JUDYTA. — Ale niechże pan siada. (Wskazuje krzesło obok stolika).

SAUL, (zauważywszy stolik). — Oho, jest!

JUDYTA. — Co takiego?

SAUL, (siadając). — Ten stolik... proszę sobie wyobrazić, że o mały włos go nie kupiłem..

JUDYTA. — Ach, tak? Prawda, że ładny? (Tymczasem Michał poszedł po krzesło). — Cieszę się, że pana widzę, Lazare.

SAUL. — Ja także, bardzo.

JUDYTA. — Ogromnie się cieszę.

SAUL. — Zbytecznem byłoby zapytywać, czy pani szczęśliwa; wystarczy spojrzeć: błyszczą na pani weselne pióra.

JUDYTA. — Och! Weselne pióra, Istotnie jestem szczęśliwa. Jest pan więc au courant zmiany, jaka zaszła w mojem życiu?

SAUL. — Przewidywałem ją. Taką, jaką panią znałem, z jej promienną inteligencją, pogardą przesądów, nienawiścią do wszelkich więzów, byłem pewny, że pani niedługo wytrzyma w pożyciu z panem de Chouzé.

JUDYTA. — Ach, gdybym była pana słuchała!

SAUL. — Zawsze uważałem to mał żeństwo za mezaljans.

JUDYTA. — On także. A pozatem miał mi pan za złe, że poślubiłam katolika, że się sama stałam katoliczką.

SAUL. — Och! My się nie stajemy katolikami. Chrzest pani był jedynie zewnętrznem odstępstwem, którego przykładów nie brak między nami. Ja jednak nie idę tak daleko, jak Arbabanel, który twierdzi, że córa Izraela, łącząca się z chrześcijaninem, staje się wyrzutkiem ludzkości.

MICHAŁ. — Nie pojmuję tylko jednej rzeczy: jak kobiecie, pani pokroju, mógł zaimponować tytuł wicehrabiny... bo w gruncie rzeczy, to było to,

JUDYTA. — Byłam głupia.

SAUL. — Była pani bardzo młoda i odczuwała jednocześnie wstyd i dumę z powodu przynależności do swej rasy. Nie bierze mi pani za złe, że mówię tak szczerze?

JUDYTA. — Jesteśmy tak starymi przyjaciółmi, że od pana mogę wszyst kiego wysłuchać. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem szczęśliwa, że pana znowu widzę. Proszę tylko pomyśleć, jak to już dawno!

SAUL. — Tak jest, to już pięć lat.

JUDYTA, (do Michała). — Przed pięcioma laty spędziliśmy w Houlgate całe lato razem.

MICHAŁ. — Ach, tak?

JUDYTA. — Czy pamięta pan willę zwaną Pod Wierzbami, dlatego, że trzy wierzby płakały nad brzegiem maleńkiego stawku?

SAUL. — Tak, tak, pamiętam.

JUDYTA. — Ach! myśmy nie płakali. Bawiliśmy się cudownie. A jakie wspaniałe lato mieliśmy w tym roku!

SAUL. — Tak, był cudowny czas... i cudowne czasy.

JUDYTA. — Byli też z nami Durcheim, Afkler, Silvescu, Oppenwald, cała rozbawiona paczka.

SAUL. — I Vowenberg, z którym pani grała niezliczone partje tennisa.

JUDYTA. — Ale z panem czytałam naszego Spinozę. Wyjeżdżaliśmy z książką, chodziliśmy po wsi; wypoczywaliśmy pod pięknemi drzewami, potem czytało się kilka kartek, by w powrotnej drodze zapamiętale dyskutować.

MICHAŁ. — To był inny rodzaj sportu.

SAUL. — Tennis filozoficzny. Jakież to dawne dzieje! Czy widuje Pani kogo z naszych przyjaciół?

JUDYTA. — Nikogo. Chyba się pan domyśla, że jeżeli z kim, to w pierwszym rzędzie z panem widywałabym się najczęściej. Pan de Chouzé nie życzył sobie, bym utrzymywała towarzyskie stosunki z mymi współwyznawcami. Teraz jednak to się zmieni, zamierzam nawet bardzo wiele z nimi obcować. Narazie słyszałam tylko, że wszyscy do czegoś doszli.

SAUL. — Tak. Afkler wydaje wielkie czasopismo. Durcheim jest posłem. Oppenwald prefektem. Mały Pfefferkorn jest inspektorem Wyznań.

JUDYTA. — A Vowenberg?

SAUL. — Dotychczas przeważnie się bawił, wiem jednak, że zamierza zdobyć sobie poważne stanowisko.

JUDYTA. — W czem?

SAUL. — W bankowości, w polityce, albo też w literaturze; nie jest jeszcze zdecydowany. twierdzi jednak, że dzień, w którym stanie się poważnym człowiekiem, będzie dniem strasz liwym.

JUDYTA. — Wierzę w to.

SAUL. — Ale mówmy trochę o pani. Byliście państwo zadowoleni z podróży do Jerozolimy?

JUDYTA. — Jakto! Już pan wie, że jeździliśmy do Jerozolimy? Och, tego już zawiele. Ale jakim cudem?

SAUL. — Mam korespondentów wszędzie po trochę, a to z przyczyny pewnej pracy, o której państwu zaraz opowiem... ci mię informują. Jednem słowem, wiedziałem, że państwo są w Jerozolimie, a nawet niewiele brakowało, żebym państwu tam robił honory; wyjechałem jednak właśnie z chwilą, gdyście przybyli.

JUDYTA. — Niemożliwe! Co za szkoda, żeśmy się nie spotkali!

SAUL, (z uśmiechem). — To znacz nie lepiej; byłbym państwu przeszkadzał.

JUDYTA, (bardzo nachylona ku Saulowi). — Przeciwnie, byłby pan cennym przewodnikiem dla Michała. On przygotowuje obecnie dzieło o religjach. Jakie piękne rzeczy opowiadałby mu pan w czasie wędrówek po Świętem mieście i jego spustoszonej okolicy! A pielgrzymki do świętych grobów, gdzie spoczywają zmarli! Pańska erudycja i pańskie natchnienie przywołałoby ich z powrotem do życia! (Zwracając się wreszcie do Michała). — Nieprawdaż, skarbie?

MICHAŁ. — Och, zapewne.

(Milczenie).

JUDYTA. — W jaki sposób dowiedział się pan o naszym powrocie i o tem, gdzie mieszkamy.

SAUL. — Ponieważ zawsze wszystko wiem.

MICHAŁ. — To trochę niepokojące.

SAUL. — Przesada, proszę pana. Niema w tem nic niepokojącego.

MICHAŁ. — Moja siostra była jedyną osobą, znającą nasz adres; więc zadaję sobie pytanie...

SAUL. — Proszę nie szukać zbyt daleko... Nie początajcie mnie państwo zapewne o posiadanie jakichś sił okultystycznych. Mamy wspólnego handlarza antykami.

MICHAŁ. — Nie widzę, co to...

SAUL. — Prawda, że ten stolik pan stwo kupili przed wyjazdem u Izydora Kalba?

JUDYTA. — Tak, rzeczywiście.

SAUL. — Ja sam chciałem go kupić podczas mojej ostatniej bytności w Paryżu. Nie wiem dlaczego, nie zdecydowałem się odrazu. Słowem, gdy wróciłem, oświadczył mi ten poczciwy handlarz, że państwo jeszcze właścicielami stolika i od niego też dowiedziałem się o waszym adresie.

JUDYTA. — Niesłychane!

MICHAŁ. — Jak wszystko się splata!

SAUL. — Coprawda, wcześniej, czy później, byłbym się jednak dowiedział.

MICHAŁ. — Oczywiście.

SAUL. — Prosiłem mego sekretarza, by się dowiedział, kiedy państwo wracają, no i zaraz przyszedłem. Chciałem przedewszystkiem odwiedzić panią, pani Judyto, następnie zaś w nadziei zainteresowania pana pewną akcją, której poświęcam się od roku całkowicie.

MICHAŁ. — Domyślam się; ale proszę mówić.

SAUL. — Jak panu zapewne wiadomo, na skutek pewnych wypadków, które się odbiły echem w naszych sumieniach i pouczyły nas jeszcze raz niestety, że ludzie są zawsze gotowi do wzajemnej nienawiści, czy to z przyczyn rasowych czy też religijnych postanowiłem założyć ligę.

MICHAŁ. — Tak, ma ona nawet piękną nazwę: „Pokój i Światło".

SAUL. — Zadaniem jej jest istotnie oświecanie i uspokajanie, stawianie całej ludzkości jednego i tego samego ideału prawdy i sprawiedliwości, ażeby ustały wszelkie kwestje ras, wyznań, narodowości, a przedewszystkiem bratobójcze wojny.

MICHAŁ. — Ta daleka wizja braterstwa ludzkości jest stara, jak wasi prorocy. Zwie się mesjanizmem.

SAUL. — Dla ducha religijnego był to przez długi czas mesjanizm; dla naszych naukowych umysłów, to wiara w postęp.

MICHAŁ. — To znowu religja, religja świecka. Jakże ją uczynicie obowiązującą?

SAUL. — Przez danie jej mocy przekonywania. Od roku wiele podróżowałem. Wszędzie mówiłem z ludźmi, którzyby mi mogli pomóc w dokonaniu mojego przedsięwzięcia. Wielu z nich skłaniało się już dawniej ku tej idei. Innych udało mi się dla niej pozyskać. Oto lista, która panu pomoże zorjentować się w tej kwestji. (Wręcza Michałowi papier, wyjęte z kieszeni). — Pańskie prace, desygnują pana na cennego współpracownika; o tę współpracę i o pański podpis przyszedłem prosić.

JUDYTA. — No oczywiście. Niema o czem dyskutować.

MICHAŁ. — Uważam pański cel panie Hoendelssohn, za piękny i szlachetny i przyrzekam, moją współpracę. Niema o czem dyskutować, jak mówi Judyta. Jeżeli mam być całkiem szczery, to może mniej niezachwianie wierzę w nadejście rządów inteligencji i rozumu, sprawiedliwości i prawdy; w każdym razie, widzę je w bardzo mglistej przyszłości, ale to nic, będę działał tak, jakbym wierzył w niedalekie ich urzeczywistnienie. Tylko nie widzę potrzeby dawania mego podpisu.

SAUL. — Dlaczego?

MICHAŁ. — Proszę mi wybaczyć porównanie; ale wygląda to tak, jakby mi pan przedstawił jakieś idee do przyjęcia, aby mi je kiedyś przedstawić powtórnie, w terminie zapłaty.

SAUL. — Więc pan się boi zaangażować?

(C. d. n.)

Bahr-Tana, Uaito i Gondar

Gdybyśmy się wznieśli w samolocie na parę tysięcy metrów ponad poziom jeziora Tana (leżącego na wysokości 1760 mtr. nad poziomem mo-



Typ rybaka ze szczepu Uaito nad jeziorem Tana. Obok mała łódeczka „tanque", sporządzona z łodyg papyrusa.

rza), — ujrzelibyśmy olbrzymie zwierciadło wody, przypominające formą swą — serce. Z tego to wiecznie żywego i pulsującego serca wypływa główna arterja: Nil błękitny. Arterja życiodajna nietylko dla całej północno zachodniej Abisynji, ale i dla Sudanu i dla basenu Nilu.

Stąd owo zainteresowanie się Anglji konfliktem włosko - abisyńskim, w którym kwestja opanowania jeziora Tana odgrywa zgoła nieposlednią rolę. Przypomnieć należy, że już po przyjęciu Abisynji do Ligi Narodów, w roku 1925, zawartą została tajna umowo włosko - angielska, mocą której Anglja zobowiązała się poprzeć starania Włoch o uzyskanie koncesji na budowę tamy na jeziorze Tana.

„Bahr - Tana" — głębokie morze, — jak je nazywają krajowcy, jest faktycznie małem morzem wewnętrznem, zajmującem 3630 klm. kwadr. powierzchni. Długość jeziora od północy ku południowi wynosi ca. 85 klm., szerokość od zachodu ku wschodowi 65 klm. Dokładnych pomiarów głębokości dotychczas nie przeprowadzano; jako przeciętną przyjąć można głębokość 60—70 mtr.

O istnieniu tego jeziora wiedziano już w starożytności: w połowie II wieku po Chr. znajdujemy jego, niezbyt ściśle coprawda kontury na mapie Afryki, sporządzonej przez żyjącego w Aleksandrji greckiego geografa, Ptolomeusza.

Wspominają o niem również często podróżnicy portugalscy XVI i XVII wieku. Pierwszy jednak dokładny opis zawdzięczamy lekarzowi szkockiemu, J. Bruce, który w latach 1769—1773 na czele ekspedycji dotarł z Massaua do Gondaru i jeziora Tana. Od tego czasu cały szereg podróżników i badaczy zwiedzał te, trudno dla białych dostępne, okolice.

Jezioro obfituje w liczne malownicze wyspy, częściowo pochodzenia wulkanicznego, częściowo zaś utworzone ze skał bazaltowych. Od wieków były one ulubionem siedliskiem zakonników, którzy pobudowali na nich liczne monastery i świątynie.

Na największej wyspie, Dek, znajduje się pięć świątyń, oraz kilka nędznych osad. Leżąca w południowej stronie jeziora wyspa Kebran posiada klasztor i kościół św. Gabrjela, z grobowcem negusa Takle Haimanot I. Najsłynniejszą jednak jest wysepka Tana Kercos, na której znajduje się kościółek, zbudowany podobno w IV wieku po Chr. W tym kościółku, wedle tradycji, przechowywaną była przez wieki święta Arka, przewieziona przez Menelika I. z Jerozolimy, — największa świętość Abisyńczyków, obecnie strzeżona w Aksum.

* * *

Skład fizyko - chemiczny ziemi, przeważnie pochodzenia wulkanicznego obfitość wody, oraz górski klimat — umiarkowany, zdrowy i łagodny, — sprawiają, że okolice jeziora Tana zaliczyć można do najurodzajniejszych nietylko w Abisynji, ale i w całej Afryce.

Jak dotychczas jednak — te naturalne bogactwa gleby wyzyskane są zaledwie w minimalnym stopniu. Uprawa roli odbywa się w sposób zupełnie prymitywny; nieliczna stosunkowo ludność pracuje o tyle tylko, o ile to jest koniecznem dla zaspokojenia swych codziennych potrzeb. Tubylcy należą do szczepu Amhara.

Bardzo ciekawą etnograficznie, choć nieliczną już (bo liczącą zaledwie 600 do 700 głów) grupę stano-



Resztki fortyfikacyj portugalskich w pobliżu Gondaru. W głębi wieża pustelnika, dziś również opuszczona.

wią krajowcy należący do szczepu Uaito, najdawniejsi, pierwotni mieszkańcy tych okolic. Mówią oni odrębnem narzeczem, zachowali swe pierwotne obyczaje, — a choć oficjalnie wyznają religję mahometańską, w gruncie rzeczy pozostali bałwochwalcami. Specjalnym kultem otaczają hipopotamy, których mięso uchodzi u nich za największy przysmak. Wedle odwiecznej tradycji żaden mężczyzna nie może poślubić wcześniej niewiasty, póki nie zabije własnoręcznie hipopotama.

Polowanie takie kończy się krwawą biesiadą: cała wieś, mężczyźni, kobiety, dzieci, rozszarpują upolowanego zwierza na sztuki, pożerając surowe, ciepłe mięso, Rytuał wymaga przytem, by sam bohater zjadł pierwszy niektóre kawałki mięsa z upolowanego potwora, co dodaje mu wigoru, odwagi i siły...

Uaito nie uprawia roli. Jego jedynem zajęciem jest polowanie i rybołóstwo. Oni też mają od niepamiętnych czasów monopol nawigacyjny na jeziorze. Do tego celu służą im małe łódeczki splecione z łodyg rosnącego na brzegach w wielkiej ilości papyrusu. Łódka ta zwana tanque, choć prezentuje się bardzo niepokaźnie, spełnia doskonale swe zadanie, — a stanowi dotychczas jedyny środek komunikacyjny na jeziorze, na którym nawet łodzie żaglowe są dotąd zupełnie nieznane.

* * *

Okolice jeziora, są, jak wspomnieliśmy, słabo zaludnione. Napróżno też szukalibyśmy w pobliżu jakichś większych miast: tu i ówdzie tylko widnieją osady, małe skupienia ludności, kryjącej się w swych okrągłych lepiankach krytych słomą. Są to owe *„tukul"*, tak charakterystyczne dla krajobrazu. Dopiero w większej odległości spotykamy dwa miasta: w kierunku wschodnim, na wysokości 2.500 mtr., Samara, zwane też Debra Tabor, — na północy zaś Gondar.

Podróżny, który zdoła dotrzeć aż do Gondaru, spogląda ze zdziwieniem na potężne fortyfikacje, zębate mury i wieże, otaczające to miasto. Mury, nadżarte już dobrze zębami czasu, sprawiają mimo wszystko imponujące, a dziwne wrażenie na tle nędznych, parterowych budowli i okrągłych chat, z których całe „miasto" się składa.

Fortyfikacje te, to ostatnie świadectwa panowania Portugalji w tym kraju, — datujące się z XVI i XVII wieku.

* * *

Był to okres wielkich wypraw i odkryć geograficznych. Już w średnich wiekach dochodziły do Europy wieści o jakiemś tajemniczem a bogatem państwie chrześcijańskiem w głębi czarnego lądu, które potrafiło się zwycięsko oprzeć rozlanym szeroko falom Islamu i pogaństwa.

Zainteresowali się tem zwłaszcza władcy Portugalji, którzy w ewentualnym sojuszu z tem państwem widzieli nietylko sukcesy polityczne i ekonomiczne, — ale i potężny bastjon w walce z Islamem.

Pierwsza wyprawa do Abisynji w roku 1487 pod kierownictwem Pedra de Corvilhao, oraz następna, w roku 1520, pod wodzą Rodriga de Lima, nie dały pożądanych i oczekiwanych rezultatów.

Lepiej powiodło się ekspedycji, która wyruszyła w roku 1541 pod wodzą Cristobala de Gama, syna słynnego odkrywcy. Wezwani przez negusa na pomoc przeciw grożącym atakom tureckim, wojownicy portugalscy, mimo szczupłej ich liczby (zaledwie 400 muszkieterów) dotarli zwycięsko aż do jeziora Tana, poczem rozbili namioty w Gondar.

Z niedawnych sprzymierzeńców i pomocników w walce z Islamem, zmienili się w zaborców i władców. Z tego okresu czasu datują się właśnie potężne fortyfikacje, do dziś dnia dochowane.

Niedługie jednak było panowanie Portugalczyków na ziemi abisyńskiej. Zrazili sobie ludność nietylko swoją bezwzględnością i okrucieństwem, lecz — i to przedewszystkiem, podjętemi reformami religijnemi, zmierzającemi do wprowadzenia religji rzymsko-katolickiej na miejsce obrządku koptyjskiego.

Dało to początek licznym buntom, których ofiarą padali przedewszystkiem Jezuici, sprowadzeni do Abisynji przez zdobywców. A kiedy negus Za Dengel, pod wpływem Jezuity, o. Paez'a, odważył się przyznać cudzoziemcom rozmaite ulgi i przywileje, — wywołał powszechne oburzenie w kraju — i zginął podstępnie zamordowany.

Podobny los spotkał też i jego następcę. Wybuchło powstanie. Wszystkie budowle, zamieszkane przez Jezuitów, zrównano z ziemią. Kto nie zdążył ratować się ucieczką, ginął straszną śmiercią z rąk rozjuszonego tłumu

Działo się to w roku 1626. Historję tę opiewa popularna dotd pieśń, której refren brzmi:

„Nigdy już więcej wilki z Zachodu nie wedrą się do naszej Etjopji..."

Pozostały tylko wyszczerbione, obrośnięte bujnem zielskiem mury, — jedyne świadki panowania „wilków z Zachodu" na ziemi abisyńskiej.

(kr.)

Sowiety budują łodzie podwodne

W. dziedzinie budowy łodzi podwodnych, rozwinęły ostatnio Sowiety bardzo ożywioną działalność.

Do końca roku 1936 ma zostać spuszczonych na wodę 50 nowych łodzi a ilość tych łodzi ma się zrównać z obecnym stanem liczebnym łodzi podwodnych w Anglji.

Duża część tych łodzi przeznaczoną jest do służby na Morzu Bałtyckiem, a to z uwagi na intenzywne zbrojenia morskie Niemiec.

Sowieckie gwiazdy na Kremlu

Jak donoszą z Moskwy, rozpoczęto tam prace około usunięcia z wież Kremlu historycznych orłów dwugłowych, których miejsce zajmą w najbliższym czasie sowieckie gwiazdy.

Każda z nich waży 2000 kg., a zrobiona jest z drogocennych materjałów, ze srebra, bronzu i szlachetnych kamieni. Gwiazdy te mają zawisnąć w wieżach Kremlu w dniu 7 listopada, w rocznicę rewolucji.

Kilku robotników, zajętych przy ich montowaniu, skazano no karę więzienia, próbowali oni bowiem wyłupić i ukraść cenne kamienie, z których zrobione są emblematy Sowietów.

Zabytkowe gmachy Rynku krakowskiego

Obok wspaniałej świątyni Marjackiej, malowniczego kościółka św. Wojciecha i pięknej wieży ratuszowej, ze szpetną austrjacką neogotycką przybudówką, znaną pod popularnem mianem odwachu, zdobi okazały Rynek krakowski, zajmujący obszar niespełna 4 hektarów, szereg zabytkowych gmachów. — Na pierwszy plan wysuwają się wśród nich Sukiennice. Sama nazwa wskazuje, jakie było przeznaczenie, ongiś, nie dzisiaj, tej podłużnej, zajmującej środek Rynku budowli. Sukiennice były wówczas szeregiem kramów z suknem. Zastał je już wiek XIII. Ale dopiero w 14 stuleciu, z czterech oddzielnych budynków, utworzono jeden. Stało się to za Kazimierza Wielkiego. Budową kierował architekt M. Lindentolde. Ówczesne Sukiennice strawił w wieku XVI olbrzymi pożar. — Szybko odbudował je jednak Włoch Padovano. Na gotyckim zrębie pierwotnym wzniósł renesansową attykę, szeregiem interesujących maszkaronów, oraz wielkie balkony. Sukiennice Padovana, budowla piętrowa, były znacznie wyższe od poprzednich.

Nietrudno przekonać się, oglądając rysunki Rynku krakowskiego z XIX stulecia, że gmach Sukiennic oblepiony był poprostu, jeszcze w r. 1870, szeregiem szpetnych przybudówek. Usunięto je w związku z przebudową w r. 1879. Architekt Pryliński dodał, w czasie tej przebudowy gmachowi Sukiennic, arkadowe, gotyckie podcienia, zakłócając przez to jednolity charakter, w zasadzie renesansowej budowli.

Przez szereg wieków w parterowej hali Sukiennic koncentrował się wielki handel krakowski. Podupadł on w związku ze zubożeniem miasta, a później, gdy znowu nastały lepsze czasy, już tutaj nie powrócił, ustępując miejsca ubogim, drobnym kramikom. Jedynie po stronie zewnętrznej gmachu, pod arkadami, usadowiły się sklepy bogatsze. Sukiennice składają się z dwóch kondygnacyj. Ponad dolną handlową, obrała sobie siedzibę, na piętrze gmachu, Sztuka. Wielkie sale I piętra, kryją w swem wnętrzu galerję obrazów Muzeum Narodowego.

Wokół Rynku, ze wszystkich stron Sukiennic, większość gmachów, wśród szeregu kamienic, to stare domy szlacheckie lub mieszczańskie. Fasady ich proste naogół, niewyszukane, trzyokienne nierzadko, jak kazał odpowiedni, średniowieczny przepis miejski, ozdobione są attykami. Ciekawsze natomiast ich wnętrza. Niejedna kamienica, mimo „odmładzającej kuracji" fasady, którą kilka, a może kilkanaście razy, w ciągu swego kilkusetletniego żywota, przeszła, zachowała stare piwnice, piękne bramy, podwórce, klatki schodowe i mieszkania, zdradzające jej przynależność do głęboko średniowiecza. Niektóre kamienice, wyłamały się z trzyokiennego szablonu fasady i zwracają uwagę swym ogromem. Są to pałace wielmożów. Taką jest kamienica na rogu ul. Szczepańskiej, zwana pałacem „pod Krzysztoforym" (popularnie Krzysztofory), od posagu tego świętego, który ją zdobił. Wnętrze jej przybrał stiukami Baltazar Fontana w wieku XVII. Sąsiadem pałacu „pod Krzysztoforym" jest pałac spiski, siedziba dawnych panów na Spiszu, Lubomirskich. Do pięknych gmachów Rynku krakowskiego należy pałac „pod Baranami", narożnik Rynku i ul. św. Anny, obecnie własność Potockich. Dwom kamiennym głowom baranim, podtrzymującym balkon nad bramą, zawdzięcza on swa nazwę. Pałac „pod Baranami" zmienił gruntownie swe średniowieczne oblicze w czasie przebudowy, dokonanej w połowie ub. wieku. Przed laty należał on początkowo do magnatów Ostrogskich, potem do Radziwiłłów, wreszcie przeszedł do Potockich. Najbliższą siostrzycą tego pałacu jest ciekawy dom „pod Jagniątkami". Równie stary, a może starszy od poprzedniego. Był czas, kiedy stanowił on majętność Stanisława Rożanki, nadwornego medyka Niewinną nazwę posiadająca kamienica „pod Jagniątkami", była niemym świadkiem tragedji wielkiego człowieka, która u jej bramy rozegrała się w piękną księżycową noc sierpniową roku pańskiego 1537. Na przechodzącego tamtędy twórcę kaplicy Zygmuntowskiej, cacka architektury z epoki odrodzenia, Bartłomieja Berecci, rzucił się jeden z zawistnych ziomków i zasztyletował mistrza.

Naprzeciw pałacu „pod Baranami", na rogu ul. Wiślnej i Rynku, wzniesiono w stuleciu XV. dom, zwany kamienicą „pod świętym Janem Kapistranem". Tutaj miał zamieszkiwać przed laty 400 ów święty kaznodzieja włoski, który wygłaszał płomienne kazania na Rynku do ludu krakowskiego. Dalej ku kościołowi św. Wojciecha napotykamy na kamienicę „Kromerowską", ze znaną piwnicą, dzisiaj siedzibą krakowskich bibljofilów, oraz na pałac Potockich, narożnik ul. Brackiej, ozdobiony szeregiem alegorycznych figur. Pierwotnie należał on do rodziny Zbaraskich, później do Wodzickich, wreszcie przeszedł do Potockich. Sąsiadem jego jest dom „pod Obrazem", ozdobiony na ścianie frontowej starym wizerunkiem Matki Boskiej. W stojącej obok kamienicy mieszkali niegdyś hetmani polscy. Jeden ze zworników dawnych gotyckich apartamentów hetmańskich ma być portretem Kazimierza Wielkiego. Tradycja mówi, że kamienica hetmańska była w wiekach XIV i XV własnością najbogatszej krakowskiej rodziny mieszczańskiej, Wierzynków. Tutaj więc odbyła się w grudniu 1363 roku owa słynna uczta monarchów, gości Kazimierza Wielkiego, zaproszonych w niskie progi mieszczańskie przez Wierzynków. Przyjęcie to świadczy o bogactwie i przepychu, którym otoczone było wówczas mieszczaństwo krakowskie, wspomagające pożyczkami niejeden europejski dwór królewski, gdy znalazł się w opresjach finansowych. Nie brak twierdzeń, że uczta monarchów odbyła się gdzieindziej, a mianowicie w stojącej w pobliżu kościoła Marjackiego „Szarej kamienicy".

W szeregu kamienic równoległym do kościoła N. Marji P., wymienić należy, idąc od kościoła w kierunku ul. Grodzkiej oprócz wspomnianej „Szarej kamienicy", gotycki we wnętrzu dom „pod Jaszczurami", a dalej kamienicę „Wołoską", familijną majętność bogatej rodziny mieszczańskiej Montelupich.

Najmniej może zabytkowych gmachów zachowało się wzdłuż boku Rynku, zwanego linją A—B. W jednym z nich mieszkał przez pewien okres czasu Kościuszko, w innym, na rogu ul. Sławkowskiej i Rynku, Goethe. W miejscu nieistniejącej kamienicy Kmitów wznosi się dzisiaj znany dom „pod Kominami" (Feniksa), czyniący wrażenie intruza wśród czcigodnych średniowiecznych staruszków.

Piękny Rynek krakowski, który według może nieco za śmiałych obliczeń pomieścić mógłby 100 tysięcy osób, stojących jedna przy drugiej, wprawiał od wieków, swoich i obcych w zachwyt. Były czasy, w których wypełniały go wszelakiego rodzaju kramy handlowe, wówczas gdy Kraków zawdzięczał swą wielkość i swe bogactwo handlowi. Były czasy, w których Rynek krakowski był terenem brzemiennych w następstwa wydarzeń historycznych. Dzisiaj wszystko to należy do bezpowrotnie minionej przeszłości, której świadkiem była niejedna z kamienic Rynku krakowskiego.

ak.

Z życia Ormian w Hajasdanie

Potomkowie Hajga mitycznego, którzy pozostali w ojczyźnie, pomimo, że wycierpieli tyle katuszy w niewoli od wielu wieków ich gnębiącej, nie „upadli na duchu", lecz, czerpiąc się oraz otuchę ze wspomnień o potędze swego narodu za Argistesa i Dikrana II., ęli się pracy na roli i w przemyśle.

Chociaż mieszkają wśród gór niebotycznych, którym „długi wąski sztylet obłoki przebijający" Masis przoduje, aczkolwiek klimat jest surowy, orzą glebę i sieją na stokach górskich len, pszenicę, orkisz, oraz jęczmień, na płaszczyznach zaś proso i ryż, uprawiają tytoń, bawełnę i sezam z którego wydobywają gergelim (olej). trudnią się także hodowlą jedwabników, zwierząt domowych (bawoły, wielbłądy), lub polują na borsuki, kozice, muflony (ovis musimon), niedźwiedzie i rysie, czy też na ptactwo, jak bażanty, „gęsi czerwone", dzikie kaczki i przepiórki, albo zbierają galasówki i pyretrum z którego wyrabiają „proszek kaukazki" przeciw owadom.

Przemysłowcy zajmują się złotnictwem, kowalstwem płatnerstwem (w Karinie), sporządzaniem dywanów, der, szali i lampasów (w Tebris przeważnie), pracują w kopalniach lub eksploatują źródła gorące, których tam jest wiele.

Ludność odznacza się wzrostem wysokim, cerą ciemną, nosem „garbatym", oraz oczami czarnemi i takiemi włosami, jest inteligentna, spokojna, wstrzemięźliwa, gościnna, posiada zdolności językowe — dzięki czemu jest wielu tłumaczy — i kupieckie, jest jednak skłonna do rozpraszania się. Małżeństwa są dozgonne. Ormianka nie była dawniej równorzędną małżonkowi swemu co do praw i stosunków towarzyskich, lecz uważano ją tylko za rodzicielkę dzieci i zarządczynię domu... Później stosunki poprawiły się zwolna, dopiero w XX. wieku — jak czytamy — wzmógł się ruch feministyczny.

Strój Ormian podobny do tureckiego, tylko zamiast turbanów noszą mężczyźni czapki wysokie, prosto stojące, kobiety chodzą poza domem z czarczafem na twarzy (namiotka).

Domy są wygodne, o niewielu otworach (ze względu na zimę srogą i śnieżne zamieci). Obok domów mieszkalnych wznoszą się budynki gospodarskie z tandurem, t. j. zagłębieniem na strychu które służy za piec piekarski. Lehman-Haupt wspomina, że krajowcy układają siano na płaskich dachach w kopice, co nadaje domom wygląd osobliwy. Po wsiach można widzieć lepianki, są nawet „ziemianki".

O mieszkaniach podziemnych czytamy w dziele Ksenofonta „Anabasis" (IV, 5.) co następuje:

„W pewnej wsi były mieszkania pod powierzchnią ziemi, u wejścia wąskie, w głębi obszerne. Ludzie dostawali się do wnętrza po drabinach, dla zwierząt ciemnowych wygrzebywano wejście osobne. W mieszkaniach napotykano na kozy, owce, bydło rogate i drób z pisklętami. Znajdowano jęczmień, pszenicę, owoce strączkowe i piwo jęczmienne w naczyniach. W łagwiach, gdzie jęczmień dosięgał brzegów umieszczano rurki z źdźbeł, kto chciał pić, przytykał usta do rurki i ssał. Napój ten — bez domieszki wody — był silny i dla osób do takiego piwa przywykłych, przyjemny".

Autor ten wspomina też, że jego wojownicy widzieli we wielu domach oliwę do smarowania, którą wydobywano z lilji, migdałów gorzkich, sezamu i drzewa terpentynowego. Ormianie sporządzali maści pachnące również z tego samego materjału.

Będąc jeszcze politeistami, uznawali boga Haldję i boginię Sis za bóstwa najwyższe, nadto oddawali cześć boską słońcu, księżycowi i powietrzu. W r. 302 po Chr. przyjęli chrześcijaństwo, później, po zaborze w Chalcedonie, utworzyli kościół narodowy, w VI. wieku zaś (po Chr.) popadli w schyzmę monofizycką. Siedzibą „głowy kościoła" jest Eczmiadzin, świętością zaś, matka wszystkich kościołów" w Surp Karapet. Katolików jest stosunkowo mało. Około pozyskania swych rodaków schyzmatyków dla kościoła rzymsko-katol. z powrotem, poniósł wiele trudu Bedros Mechitar ze Sebasty († 1749 r.).

Język armeński stanowi grupę osobną pośród indoeuropejskich. Müller uczy, że język ten należy do grupy irańskiej, Hübschmann i Lagarde twierdzą, że jest samoistny"; wykazuje on nieco podobieństwa do frygijskiego. Gramatykę napisali Friggs, Laner i Petermann. Wspomnieć godzi się, że ks. Stefan Roszko ułożył w r. 1670 słownik armeńsko - polski. Pośród uczonych zasłynął Miesrobus, misjonarz, który wymyślił pismo nowe, czego wynikiem było, że wydanie Biblji w języku ojczystym i pismem armeńskiem zastąpiło edycję syryjską. Przekładu dokonał Sahagz „wynalazcą" do spółki. Dziejopisarze historyczne pisali: Arakiel, Aristan, Farp, Giewont (Leon), Glak, Metzof, Mojżesz z Choreny, Orbeljan i inni.

W r. 1917 pojawiła się w Paryżu „Histoire moderne des Armeniens" K. Basmadziana.

Znawcą języka armeńskiego był Jakób Daszian.

Autorami rozpraw teologicznych byli: Ezuik, Gosz, Norses Klajetsi (Sznorhali), Luzaworicz Magistros etc.

Jako filozof wsławił się Dawid Anhaghth.

Przedstawicielami piśmiennictwa nowszego są: Azadjan, sympatyk Polski, Czobanjan, Durjan (autor „Skargi"), Medzarenc, Paronjan (komedjopisarz), Siamentu, Waruszan († 1915), poetka Sybel (pseudonim) i kilku innych.

W malarstwie wybili się jako minjaturzyści Kirkor ze Skevry i Łazarz z Eudoksji, biskup - wygnaniec, zamieszkały w Zamościu (Polska).

W muzyce zasłynęło też sporo Ormian, między innymi ks. Gomidas, twórca hymnu narodowego „Hajasdan".

Na tem kończymy nasze uwagi o życiu Ormian w ich ojczyźnie.

S. WAYDOWICZ.

Telewizja we Francji

Radjostacja P. T. T. nadaje od pewnego czasu raz na tydzień emisje systemem Zworykina, którego podstawę stanowi jak wiadomo lampka kalodowa.

Obecnie instaluje się nową stację telewizyjną na szczycie wieży Eiffla Stacja ta, o sile 10 kilowatów, nadawać będzie na fali długości 7 mtr., a rozpocznie swą pracę na wiosnę 1936 roku.

Czy polecimy na księżyc?

Zagadnienie „podróży międzyplanetarnych“ zaprzątało przez pewien czas na serjo umysły uczonych. Niedalekim już wydawał się moment, w którym zrealizują się najzuchwalsze marzenia i fantazje powieściopisarzy, a podróż w rakiecie na księżyc stanie się emocjonującą przejażdżką.

Niestety - próbne eksperymenty i ścisłe obliczenia rozwiały wszystkie złudzenia. Dziś wiemy, że podróż na księżyc, — o ile wogóle można o czemś podobnem poważnie myśleć, — wymagałaby zbudowania rakiety wagi około 1500 tonn, w czem zaledwie parę tonn przypadałoby na wagon czy kajutę pasażerską, a cała niemal reszta na potrzebny materjał popędowy.

Zawiodły również eksperymenty ze samochodami, w których siłę popędową motorów próbowano zastąpić systemem eksplodujących kolejno rakiet. Próby te, podjęte w roku 1928 w zakładach samochodowych „Opel“ w Niemczech, zarzucono wkrótce, gdyż nie przedstawiały one interesu ani naukowego, ani praktycznego.

Tem niemniej jednak kwestja rakiet powietrznych pozostała otwartą — i dziś we wszystkich niemal państwach jest ona przedmiotem wytężonych studjów teoretycznych i eksperymentalnych.

Wszystkie dotychczasowe zdobycze na tem polu są owocem żmudnych wysiłków i ofiar, albo osób prywatnych, albo specjalnie w tym celu zawiązanych stowarzyszeń. Gdy bowiem — jak dotąd przynajmniej — o handlowej eksploatacji techniki rakietowej niema mowy, — zatem żaden kapitalista nie kwapi się do finansowania tego rodzaju eksperymentów.

Wiadomo natomiast, że rządy niektórych państw (Sowiety, Stany Zjednoczone A. P.), przeprowadzają w ścisłej tajemnicy doświadczenia z rakietami, — pod kątem widzenia militarnym. Wymienić tu należy przedewszystkiem profesora Roberta H. Goddarda, powagę naukową w tej dziedzinie, który po całym szeregu udałych eksperymentów przeszedł ostatnio w służbę rządu Stanów Zjednoczonych.

* * *

Pozostawiając na boku stowarzyszenia, których działalność ogranicza się na urządzaniu odczytów, konferencyj, oraz na teoretycznych tylko pracach, jak *„British Interplanetary Society“* w Liwerpolu lub *„Gird“* w Moskwie, — pomówimy o kilku innych, mogących się poszczycić już pewnemi konkretnemi wynikami.

Najstarszem z nich jest niemiecki *„Verein für Raumschiffahrt“*, założony w roku 1927 we Wrocławiu. Wśród członków tego stowarzyszenia figurują M. Valier, J. Winkler i prof. Oberth. O ile pierwsi dwaj nie mieli szczęścia (Valier zginął w roku 1930 próbując samochód poruszany siłą popędową rakiet, a skonstruowana przez Winklera rakieta eksplodowała podczas próbnego lotu), — to Oberth może pochlubić się dobrym wynikiem.

Ciekawą jest geneza pierwszej rakiety prof. Obertha. Było to w roku 1929. W Berlinie nakręcano fantastyczny film *„Kobieta na księżycu“*, a wytwórnia zaprosiła Obertha do realizacji tego filmu, jako eksperta i doradcę technicznego. Wówczas wyłonił się projekt, by w dniu wyświetlania filmu wypuścić rakietę, któraby pobiła wszystkie rekordy wysokości. Oberth zabrał się do pracy; stanęły mu jednak na przeszkodzie rozmaite trudności techniczne, tak, że musiano w ostatniej chwili odwołać zapowiedzianą już i szumnie reklamowaną atrakcję.

Cały, przygotowany już częściowo przez Obertha materjał odkupiło „Verein für Raumschiffahrt“, gdzie też kontynuował Oberth swą pracę. Dnia 23 lipca 1930, wobec władz i zaproszonych fachowców przeprowadzono pierwszą próbę z rakietą. Próba wypadła nadspodziewanie dobrze, a stowarzyszenie podjęło dalsze prace, pro dukując rakiety. Materjałem popędowym był skroplony tlen. Pierwsze modele otrzymały nazwę *„Mirak“* (skrót „Minimum - Rakete“) dla swych maleńkich rozmiarów. Nie miały one spadochronów, dlatego można było wypróbowywać je tylko na specjalnie skonstruowanych aparatach.

Inny model *„Repulsor“*, ze spadochronem, wyprodukowano w roku 1931 a przeprowadzone z nim próby dały wynik zadawalniający: rakiety te wznosiły się do wysokości 1500 mtr., przebiegające przestrzeń 3 kilometrów. najcięższa z nich ważyła 70 kg.

Projektowano nawet zbudowanie według tego modelu dużej rakiety, mogącej pomieścić jednego pasażera, — ale projekt ten zarzucono ze względów bezpieczeństwa.

* * *

Eksperymenty te zainteresowały uczonych amerykańskich. Wkrótce też powstają tam dwa towarzystwa: *„American Rocket Society“* w Nowym Jorku i *„Cleveland Rocket Society“* w Cleveland. To ostatnie nie wyszło jeszcze dotychczas ze stadjum próbnych badań. Natomiast stowarzyszenie w Nowym Jorku skonstruowało już kilka modeli rakiet, poruszanych skroplonym tlenem, a próby przeprowadzone z niemi dały pomyślne rezultaty. Rakiety te, zbudowane z aluminjum i miedzi, zaopatrzone są w metalowe skrzydełka, które przy spadaniu otwierają się automatycznie i nadają całej rakiecie ruch rotacyjny, tworząc rodzaj hamulca.

Pozostaje jednak jeszcze do rozwiązania cały szereg kwestyj: wybór najodpowiedniejszego aljażu do konstrukcji rakiety, oznaczenie stosunku tlenu do materjału palnego, tj. benzyny, sposób chłodzenia rakiety itp. W tym kierunku też idą dalsze prace uczonych.

* * *

Jak już zaznaczyliśmy, technika rakietowa nie przedstawia chwilowo żadnego interesu praktycznego. Nie da się ona zastosować ani w konstrukcji samochodów czy wagonów, ani w lotnictwie.

Jedyną i właściwą domeną, w której rakiety mogłyby oddać poważne usługi, jest meteorologja. Rakieta, wystrzelona na wysokość 15—20 kilometrów, a zaopatrzona w automatycznie rejestrujące instrumenty, mogłaby ułatwić meteorologom stwierdzenie kierunku i siły wiatrów, wilgotności i ciśnienia atmosferycznego.

Instrumenty te, wyrzucone na pewnej wysokości, a przytwierdzone do spadochronów, notowałyby w czasie spadania wszystkie potrzebne daty, — co pozwoliłoby meteorologom na układanie komunikatów i określanie pogody na dłuższy okres czasu.

Innem praktycznem zastosowaniem rakiety jest przesyłanie z jej pomocą poczty. Próby w tym kierunku podejmowano już kilkakrotnie. Najbardziej znane są próby przeprowadzone w roku 1931 przez austrjackiego inżyniera Schmiedta w pobliżu Grazu. Jego rakieta *„R 1.“*, wystrzelona 9 września 1931, miała 1.70 mtr. długości, a 24,5 ctm. średnicy, i ważyła 7 kg. Jako materjał popędowy służyła specjalna kompozycja prochu, będąca tajemnicą wynalazcy.

„Poczta rakietowa“ funkcjonowała regularnie i sprawnie, — okazała się jednak w praktyce zbyt kosztowną.

Podobne próby podejmowali dwaj Niemcy: G. Zucker i R. Tiling w pobliżu kanału La Manche. Obie próby jednak skończyły się fiaskiem kompletnem.

Ostatnio znów wynalazca holenderski, Ch. Roberti, skonstruował rakietę pocztową, zdolną pomieścić 1200 listów. Mierzy ona 1,75 mtr. wysokości, a pół mtr. średnicy.

Wszystko to są jednak nieśmiałe jeszcze próby, mające wartość raczej teoretyczną. Można powiedzieć, że technika rakietowa znajduje się dziś w temsamem stadjum swego rozwoju, co lotnictwo przed jakiemiś trzydziestu laty. Ale praca trwa. I genjusz ludzki, wcześniej czy później, zatryumfuje...

(kr.)

Kiedy Stendhal był panem De Beyle

W drugim tomie swojego „Dziennika“ zamieszcza Stendhal następującą notatkę: „Zostałem wolno - mularzem 3 sierpnia, roku 1806. Wkładka — 123 funty“. Powieściopisarz był wówczas dwudziestodwu - letnim młodzieńcem, właścicielem pięknego mieszkania i pojazdu ze stangretem, a nazwisko jego brzmiało: Henri de Beyle.

W aktach masońskich, wystawionych obecnie w Paryżu na sprzedaż, znajdujemy potwierdzenie tej notatki. Kolekcja zawiera niezwykle ciekawe prace i pamiątki masońskie, z których najcenniejszemi są akta księcia Cambacérès'a, kanclerza pierwszego Cesarstwa, osi i centrum ówczesnej masonerji. Cesarz Napoleon, zgodziwszy się na patronowanie wielkiemu, tajemnemu stowarzyszeniu, pragnął utrzymać w ręku wszystkie nici bractwa masońskiego, stawiając na jego czele zaufanego człowieka.

Cesarz spodziewał się, że różne organizacje masońskie dopomogą mu w pozyskaniu żywiołów liberalnych i radykalnych, że przyczynią się do scementowania i zdyscyplinowania jego armji i wkońcu, że będą pomostem pomiędzy tronem cesarskim a starą, zrujnowaną szlachtą, osłabioną i zdziesiątkowaną, ale — mimo wszystko — żywotną. Napoleon zdawał sobie sprawę z jej ogromnego prestiżu społecznego.

W papierach Cambacérès'a znajduje się kilkanaście broszur, odnoszących się do loży, stworzonej w celu nawiązania stosunków z przedstawicielami dawnego reżimu — chętnych do pogodzenia się z nowym — gotowych do wyzyskania placówek masońskich, jako terenu porozumienia. Loża ta nosiła miano loży Świętej Karoliny, na cześć wielkiej księżny Bergu. Przewodniczącym jej był najpierw D'Estournel potem de Castellane. Sposób ukonstytuowania kadr loży ujawnia myśl przewodnią założycieli, bo oprócz nazwisk z monarchji, które są w większości, spotyka się również nazwiska wysokich urzędników i dygnitarzy Cesarstwa. W roku 1807, pierwszym roku uregulowanej działalności loży, przewodniczącym jej jest książę Cambacérès, oficerami Just de la Tourette, Choiseul - Stainville, de Chabrillan i inni. Między członkami znajdujemy nazwiska jak: de Flers, de Coigny, de Montesquiou, de Narbonne, de Choiseul i wiele wiele innych.

Ta dystyngowana loża zachowała ducha XVIII stulecia, prowadzono w niej dyskusje liberalne, poruszano tematy religijne tonem przyjacielskim i protekcjonalnym, a ekscesy rewolucyjne z powściągliwością, pełną niedomówień. Uprawiano też muzykę i utworzono sekcję pań, która się nazywała tak jak w XVIII wieku, lożą „Adopcji“. Damy te były jeszcze świetniejsze, niż panowie. Oto kilka nazwisk: panie de Vaudément, de Girardin, de Witt, księżna Caramaniga, hrabina de Mostowska itd. Między nazwiska rodowej arystokracji wśliznęło się kilkanaście nazwisk mieszczańskich, naprzykład Dupuytren i kilku dygnitarzy Cesarstwa, z Martialem Daru na czele. Ten ostatni odgrywał od roku 1806 poważną rolę w loży i w 1807 wprowadził doń swojego kuzyna, którego otaczał serdeczną opieką. W aktach Cambacérès'a znajdujemy nazwisko pana de Beyle, zamieszkałego przy ulicy de Lille nr. 55, figurujące na liście uczniów“.

Młodzieniec musiał być zadowolony widząc swoje imię wypisane w pięknej, czerwonej książeczce, obok całego herbarza starej Francji, który rzekomo miał w pogardzie. Był to okres „ustatkowywania się“, w którym pod opieką kuzynów zaczynał pracować w administracji. Przed uczniem loży Świętej Karoliny otworzyły się podwoje arystokratycznych salonów, prawdopodobnie z pewną rezerwą jednak i tylko dzięki protekcji uroczego Martiala Daru, który swoim wdziękiem przesłaniał prostactwa Cesarstwa.

Czem są dzisiaj nazwiska panów Daru, Cambacérès'ów, Montmorency'ch? Któż się niemi zajmuje? W pięknej książce, wydanej przez lożę Świętej Karoliny, dumnej z wydrukowania tylu pięknie brzmiących imion, nazwisko pana Beyle było niepożądanym intruzem. Dzisiaj, ono właśnie daje wartość tym kartkom.

M. O.

TEODOZJA LISIEWICZ

„W krainie Don Kichota"

Na marginesie książki Erenburga

Jeżeli Voltaire i wielki Jan Jakób przyczynili się w dużej mierze do urzeźbienia umysłów społeczeństwa francuskiego do wybuchu rewolucji, — to możnaby sądzić, że Ilja Erenburg zamierza — świadomie, czy podświadomie — taką samą rolę odegrać, z wszystkiemi niuansami akordów, na strunach obecnych stosunków w Hiszpanji.

Nie znamy jego zamierzeń, ani też nie znamy zobowiązań ideowych autora, czy też jego zależności. Raczej, powiedzmy szczerze, zamierzeń tych znać nie chcemy. To nas nie obchodzi, ani też obchodzić nie powinno. Są to prywatne sprawy p. Erenburga. Ale znamy jego prace, a ostatnio jego reportaż z Hiszpanji „W krainie Don Kichota". I bezwarunkowo trudno się jest oprzeć pierwszemu wrażeniu. Słuszne, czy niesłuszne — nie wiem — ale wrażenie jest. Nie mamy prawa, ani też nie chcemy osądzać zapatrywań czy przekonań Ilji Erenburga. Są to kwestje czysto indywidualne, których nikomu narzucać się nie powinno. Ale możemy w takim razie tego samego wymagać od autora, czy też autorów w typie Erenburga, albo z tych samych powodów — nie zajmujemy się przekładaniem tego rodzaju książek na język polski, gdyż nam, są one zupełnie niepotrzebne.

Reporter powinien być objektywny i sprawiedliwy. A tymczasem Ilja Erenburg objektywnie nie patrzy, nie obserwuje widzianego, tylko wszystko ściąga do jednego mianownika przygotowanego a priori, do swoich własnych zapatrywań. A te znów nas, czytelników ciekawych obrazu Hiszpanji obecnej i obecnie panujących tam stosunków socjalnych, nic nie obchodzą. Reporter powinien podawać do wiadomości widziane, a nie — tylko i wyłącznie to widziane obrażać. Bo trudno inaczej określić jego uwagi na tematy społeczne i tematy religijne.

Na religję ludów południowych trzeba patrzeć się zupełnie inaczej, dostosowując się do ich dziedzinnej, nawet chwilami naiwnej mentalności (pełnej jednak gorącej wiary). I podług tych pojęć nie można stawiać wniosków. Zresztą wierzenie — wszystko jedno jakieby ono było — wyznanie czy sekta, obojętne jakiej rasy jest zawsze religją, którą trzeba uszanować i której nikt niema prawa wyszydzać ani też obrażać, tak jak nikt niema prawa wyszydzać czyichś najświętszych uczuć, społecznych czy osobistych.

Tymczasem Ilja Erenburg przechodzi nad tem do porządku dziennego. Nie czuje żadnych zobowiązań, wiążących go pewnymi więzami delikatności wobec drugich żeby pisać o czyjejś religji, trzeba ją znać. Jeżeli mowa o Hiszpanji, siłą faktu, musi być mowa o katolicyźmie — dwie nierozerwalne kwestje. Ale żeby pisać o tem, trzeba wiedzieć co pisać. Tymczasem autor zdaje się zupełnie nie wyznawać w tych odcieniach. Wśród licznych zdań rażących swoją nietolerancją człowieka wyzwolonego (takim zdaje się chce być autor) i brutalną pewnością ironji, pisząc np. o księżach mówi: „We Francji starają się księża przy ludziach zachować dostojnie. Nawet w tramwajach czytają zawsze jeden i ten sam zniszczony już modlitewnik... „Zdaje się, że Erenburg nie wie o tem, że modlitewnik jest prawie zawsze zniszczony i stary, że modlitewnika nie zmienia się tak, jak przekonań. Iże jest on czasem nawet pewnego rodzaju tradycją przekazywaną młodszemu pokoleniu przez starsze; albowiem księża katoliccy modlą się zawsze z jednej i tej samej książeczki. Na tego rodzaju rzeczy niema mody, ani poglądów. Jest tylko wiara i poszanowanie.

Autor chce otworzyć oczy na prawdziwą Hiszpanję, ale robi to z jadem i żółcią. Efekt zawsze był chybiony. Czytelnik mimowoli przechyla się ku temu, kto przedstawiony jest z pewną dozą złośliwości i niechęci. Autor nie zdobędzie się nigdy na wielkoduszność pochwały, widzi tylko zło. Głupotę. Jednak jak okazuje się z tego reportażu, Hiszpanie nie są wcale narodem głupim. Owszem, trzeba im przyznać, że narodem wcale nawet przewidującym, Gdy przyjechałem do Madrytu — pisze Erenburg przedewszystkiem zaaresztowano mnie Było to bardzo efektowne: na peronie oczekiwali mię policianci. W komisarjacie otworzono moją walizę — szukano, widocznie broni. Zrewidowano także moje kieszenie — czy nie mam moskiewskiego złota? Pierwszego dnia, jak cień, chodzili za mną przedstawiciele władzy...

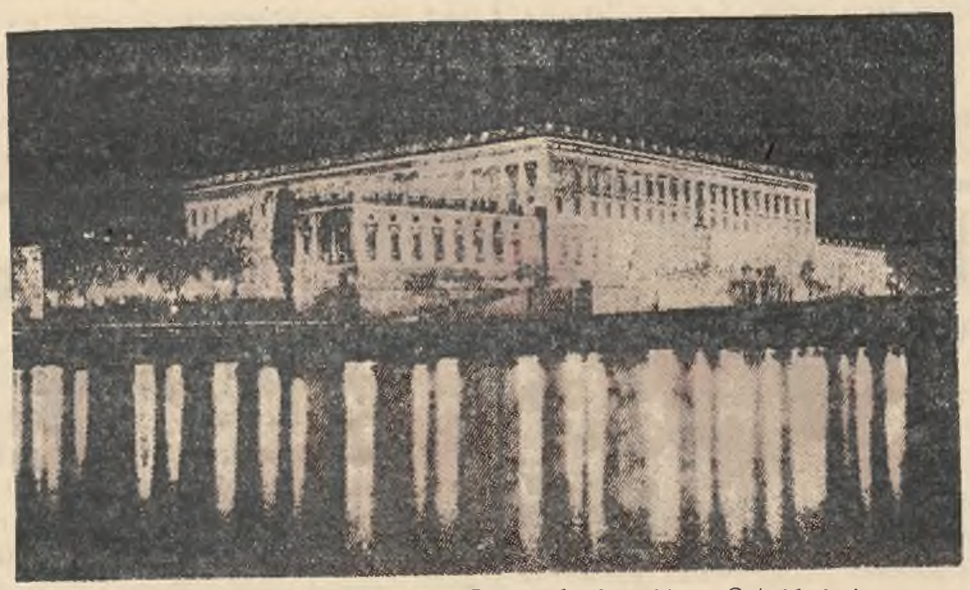
Potem mając już zupełną swobodę ruchów, zwiedza Erenburg Hiszpanję wszerz i wzdłuż, zatrzymuje się w każdem mieście, każde z nich, jak i jego stosunki opisuje. Ale robi to dość chaotycznie. Interesują go przedewszystkiem przedmieścia i zaułki. Z tego wydobywa dopiero obraz i sąd. I ma zupełną rację. Dopiero piwniczne mieszkania biedy i wilgotne lokale klubów robotniczych mogą dać charakterystyczny obraz. Klasa tak zwana uprzywilejowana, dzięki dobrobytowi i nbytej przez niego kulturze, na całym świecie jest zbliżona do siebie. Podobna. Zatraca swój regionalizm. Możnaby sądzić, że dobrobyt stawia jednostki na poziomie międzynarodowym.

Jest to reportaż komunisty, nienawidzącego świata ludzi, żyjących w logicznem następstwie pracy i dobrobytu. Dzięki pracy pokoleń, jednostka czy jednostki dochodzą do pewnej, że tak określimy, zamożności, i co za tem idzie, podniesienia się już o jeden szczebel wyżej. W W swem zacietrzewieniu autor zapomina o tem. Taki reportaż jest marzeniem ściętej głowy. Zdawałoby się, że chce być wydobyciem na świat prawdy, a jest tylko jątrzeniem. Z przewrotu w Hiszpanji i przebiegu rewolucji jest autor zupełnie niezadowolony, z czem się nawet nie kryje. Ma się ochotę porównać jego książkę z fragmentem powieści Reymonta, w której Zamore, murzyn hrabiny Dubarry podczas krwawych dni wersalskiego Paryża mówi: „...trzeba dużo, dużo tych ludzi wymordować i wszystko co jest w zamku zabrać i rozdzielić między nas. To byłaby dopiero sprawiedliwa rewolucja, a ta co jest teraz, to na nic. I trzeba ją będzie przerabiać..." Taki reportaż jest dla nieoświeconych, dla nieinteligentnych których porwie za sobą ich krzywda, odbitą w wklęsłem zwierciadle, ale nie dla tych, którzy mają swoje własne zdanie i jasny własny sąd.

Wracając do nieposzanowania przez autora czyichś przekonań i tradycyj, musi się zwrócić uwagę na jedno porównanie podane przez opisie grobów królewskich w Eskorjalu i opisie piwnic Herezu: „..„Zamiast ogrodu — piwnic.., w piwnicy półki, na półkach trumny, na trumnach imiona królów. Kustosz pokazuje przejezdnym te wspaniałości i płyn Gonzales i Byassa — chluba Jerez ponie odczytuje imiona..." — „...Piwnice dziwiane są narówni z barokowemi kościołami, z pomnikiem Primo de Rivery. Tu przejeżdżali Bourboni na winną pielgrzymkę. Senjor Gonzales chlubi się „Rotondą" — to piwnica, w której beczki ułożone sa w kształcie półkola, jedna na drugiej. Królowie podpisywali się na beczkach, można tu znaleźć autografy Alfonsa i jego przodków. Przypomina to piwnicę Eskorjalu: tam stoją trumny z prochem, tu puste beczki. Takie jest muzeum Gonzalesa"...

Może być, że porównanie, zdaniem autora jest trafne i jemu trafiające do przekonania, ale trzeba przecież zrozumieć, że pewne poszanowanie tego rodzaju tradycyj jest obowiązujące nawet u ludów ymitywnych, bo przychodzi nietylko z kultury nabytej przez wieki, ale przychodzi z czysto naturalnego prawa uznania potrzeby świętości. W każdym wszystkiem powinna być jakaś delikatność zrozumienia zapatrywań drugiej strony. Chodzi tu o czysto ludzki punkt widzenia i czysto ideowy. Idea autora staje się w tym wypadku osobistym wyrazem pewnej gruboskórności, a reportaż powinien tego unikać. Ale żeby szanować tradycje, trzeba je mieć, ażeby je mieć trzeba się urodzić, a nie powstać naraz z błotnisto krwawej mgławicy przewrotu.

A teraz mała uwaga na marginesie. W książce tej, raczej tłumaczeniu, są pewne błędy językowe, które niestety coraz częściej spotyka się nietylko w tłumaczeniach, ale i oryginałach. Może z powodu wielkiego bogactwa dźwięków, język nasz łatwiej ulega wpływom języków obcych. I czytamy: „....dawny odwokat przechadza się po ogrodzie klasztornym, wącha do kwiatów, studiuje romańskie bareljefy itd..... „Nie — na to nigdy nie możemy się zgodzić. W języku polskim możemy tylko „wąchać kwiaty", ale nigdy nie możemy „wąchać do kwiatów". A takich błędów spotyka się teraz w naszych książkach coraz więcej.



Malownicza „Wenecja Północy" Pałac królewski w Sztokholmie.

Ciekawostki radjowe

Radjostacje drogowskazami dla lotników

Najgroźniejszymi wrogami lotnika są noc i mgła. O ile idzie o ciemności nocne, to lotnictwo znalazło już skuteczne środki do walki z niemi w posta ci radjogoniometrji oraz potężnych lamp, oświetlających lotnisko.

Trudniejsza sprawa jest z mgłą, uniemożliwiającą dokładną orjentację, zwłaszcza w wypadkach, gdy samolot czyto naskutek defektu, czy dla braku benzyny, zmuszony jest lądować na nieznanym zupełnie terenie. W tych wypadkach nieocenione usługi oddaje aparat, nazwany „radjokompasem", a wprowadzony od niedawna oficjalnie w lotnictwie francuskiem.

Aparat ten, wagi niespełna 20 kg., o dość skomplikowanym mechaniźmie, wskazuje zupełnie automatycznie na tarczy kierunek lotu, — w odniesieniu do którejkolwiek znajdującej się w danej okolicy radjostacji. Dzięki specjalnemu urządzeniu może lotnik „nastawić" radjokompas na dowolną stację nadawczą. W ten sposób wszystkie radjostacje stają się niejako drogowskazami, wedle których łatwo może sie lotnik orjentować. Trzymając się drogi, wytyczonej przez radjokompas, odnajdzie z łatwością nawet wśród najgęstszej mgły najbliższe lotnisko. Zbłądzenie z drogi jest wykluczone, tarcza radjokom pasu bowiem zanotuje bezwłocznie najdrobniejsze odchylenie kierunku lotu.

RADJO A TELEFON

Przed czterema laty podjęto pierwsze próby w kierunku wyzyskania sieci telefonicznych do transmitowania audycyj radjowych. Próby te dały doskonałe wyniki. W r. 1934 liczono w Angiji 152 tysiące radjoabonentów, korzystających z tego nowego, oryginalnego sposobu audycyj, — w Szwajcarji 32 tysiące, w Belgji 6 tysięcy, w Austrji 1200 abonentów.

Urządzenie podobne jest do telefonów automatycznych: abonament ma do wyboru programy kilku większych stacyj nadawczych. Pokręcając okrą ą tarczę z numerami wyszukuje sobie poprostu numer żądanej radjostacji. Z chwi lą gdy w czasie słuchania audycji zadźwięczy dzwonek telefonu, następuje automatycznie wyłączenie radjostacji.

Wśród wydawnictw

„Ptaki ziem polskich". Świeżo ukazał się ósmy zeszyt tego wydawnictwa, któremu patronuje Liga Ochrony Przyrody w Polsce. Jak już wspominaliśmy, redaguje je dr. fil. Jan Bogumił Sokołowski, doskonały znawca przedmiotu, a przytem prawdziwy przyjaciel i miłośnik olbrzymiej tej skrzydlatej rzeszy, napełniającej swym rozgwarem nasze góry, lasy, ogrody i ulice.

Autor, nie schodząc nigdy z gruntu naukowego, umie wywody swe okrasić takiem mnóstwem własnych spostrzeżeń i infomacyj o każdym gatunku, że dzieło jego czyta się ze satysfakcją i niesłabnącem zaciekawieniem. A dużo można się z niego dowiedzieć i nauczyć, — sprostować rozmaite fałszywe poglądy, przesądy i uprzedzenia.

Wyd. *„Ptaki ziem polskich"* obliczone jest jako dzieło dwutomowe, wychodzące zeszytami. Bardzo przystępna cena (zł 1.80 za zeszyt, bogato ilustrowany) umożliwia nabycie tego pięknego a pożytecznego wydawnictwa każdemu miłośnikowi przyrody.

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Stanowczo faworytem sezonu zimowego będzie aksamit, materjał rzeczywiście bez konkurencji, uosobienie miękkości, kobiecości i przepychu. Przedewszystkiem znajduje on szerokie zastosowanie w sukniach wieczorowych, a to zarówno gładki, jak w rozmaite dyskretne desenie, jak wreszcie krepowany lub wytłaczany, czy cloqué.

— Nowością jest jersey, naśladujący do złudzenia aksamity, „transparent". Ma on tę wyższość nad aksamitem, że się nie gniecie i nie wyświeca tak szybko; jest cienki, elastyczny i przylegający.

— W sukniach wizytowych i wieczorowych po monotonnych nieco kolorach jesiennych przeważają obecnie tony żywsze, ciepłe. A więc: czerwony z odcieniem granatu, zielony o refleksach bronzowych, lazurowy z delikatnym nalotem popielatego, mieniące się zielenią fiolety.

Duże zastosowanie ma nadal celofan, którego błyszczące nitki ożywiają jednolity kolor materjału.

— Kolorowy pasek ożywia i upiększa każdą suknię. Pojawiają się też paski futrzane, — odpowiednie jednak tylko dla osób wysokich o bardzo zgrabnej figurze.

Jako zapięcie paska — maleńka kłódeczka, zamykana na autentyczny kluczyk: to najnowsza moda paryska. Ekscentryczne Amerykanki i tem się już nie zadowalniają; miejsce kłódki zajmuje minjaturowy — rewolwer ze szczerego złota. Znak czasu i nastrojów!

— Również w Ameryce zrodziła się moda broszek przypominających kształtem swym „szrapnele, drewnianych guzików wyglądających jak minjaturowa torpeda, — oraz klipsów we formie sztylecików.

— Bardzo zabawnie wyglądają kapelusiki filcowe lub aksamitne, przybrane sterczącym ogonem lisim.

— Wogóle lisy są nadal bardzo modne. I to nietylko srebrne czy niebieskie, lecz i żółte, w naturalnym kolorze. Robi się z nich kołnierze, pelerynki; można też pelerynę z materjału przybrać lisami.

— Hafty należą do najpopularniejszych, a przyznać trzeba i najpiękniejszych przybrań. Bardzo efektownie wyglądają hafty z perełek, rozrzucone pojedynczo lub grupkami po całej sukni.

— Złote i srebrne maleńkie gwoździki widzi się bardzo często na paskach oraz na kapeluszach. Przybiera się niemi również i manszety rękawiczek.

— Motywy kwiatów i liści powtarzają się w guzikach, klamrach pasków i klipsach. Kto sobie może pozwolić na ten zbytek, przybiera czarną suknię wizytową liśćmi dębowemi lub orzechowemi, kutemi w srebrze albo w bronzie.

— Sandałki wieczorowe, — złote lub srebrne, — sznurowane na odpowiednie łańcuszki, mają niskie, czworokątne obcasy.

— Najnowsze pullovery i sweatery są znacznie dłuższe niż w zeszłym sezonie. Robi się je z materjałów włochatych, o delikatnym nalocie, bardzo miękkich i miłych w noszeniu.



Wełniany kostjum tailleur. Kołnierz, manszety i kieszenie z krymskich baranków.



Oryginalny kostjum tailleur, składający się z długiej zupełnie spódniczki i króciutkiego żakietu z czarnego aksamitu. Do tego strojna bluzka z lamy. Kostjum ten nadaje się na strój wieczorowy. Zmieniając bluzkę można za każdym razem stworzyć coś nowego i oryginalnego.

Kącik kosmetyczny

Przyszły pierwsze mrozy... Minęły czasy wycieczek, kąpieli słonecznych i sportów letnich. Kiedy za oknami wicher zimny strąca ostatnie liście z drzew, kiedy siecze przenikliwy deszcz ze śniegiem, — jakże miło odczuwamy ciszę i ciepło naszego mieszkania!

I mimowoli ogarnia nas słodkie rozleniwienie: tak nie chce się jakoś zerwać rano z ciepłej pościeli, by odbyć swoją gimnastykę poranną! Nie kwapimy się zbytnio z otworzeniem okna, przez które napływa zimne, ale bądźcobądź świeże, orzeźwiające powietrze. Z lenistwem tem trzeba walczyć energicznie. Organizm nasz przywykły przez lato do świeżego powietrza, do ruchu, do codziennej gimnastyki, — nie może być naraz pozbawiony tego wszystkiego. Potrzebne mu to tembardziej właśnie teraz, w zimie, kiedy skazane jesteśmy na przebywanie przez dzień cały w zamkniętych, ogrzanych pokojach, nierzadko przesyconych dymem papierosów.

Zaczyna się sezon herbatek popołudniowych, brydżów. Zaglądamy częściej do kawiarni czy cukierni. Wszystko to wpływa ujemnie na nasz organizm.

Brak nam swobody, powietrza, ruchu. Tembardziej więc trzeba pamiętać o swem zdrowiu, o cerze i o... linji.

Kwadrans gimnastyki porannej przy otwartem oknie, — to minimum tego, cośmy same sobie winne.

I co dnia — bez względu na rozkład zajęć, obowiązków i przyjemności, — musimy znaleźć choć chwilkę czasu wyłącznie i tylko dla siebie. Na wytchnienie, odpoczynek, na dolce far niente... Poprostu położyć się na kanapce, wygodnie, dać zupełne odprężenie wszystkim mięśniom, zamknąć oczy — i nie myśleć o niczem...

Bo przecież organizm ludzi jest bardzo misterną i skomplikowaną maszyną, która musi co dnia wypocząć, jeżeli ma funkcjonować należycie. Zwłaszcza przy dzisiejszym, gorączkowym trybie życia...

Poradnik dla gosposi

KAPUSTA KISZONA DO NATYCHMIASTOWEGO UŻYTKU

Uszatkować drobno główkę kapusty, włożyć do garnka, polać wrzątkiem, a gdy przestygnie, włożyć kawałek kwaśnego ciasta, lub skórkę chleba. Postawić odkryty garnek w ciepłej temperaturze przez 28 godzin; po tym czasie kapusta ukiśnie. Gotować wraz z kwasem, dolewać wody, gdy wyparuje.

Kapusta taka jest bardzo smaczna, a wykonanie jej nie przedstawia żadnych trudności; jest o wiele tańsza, niż kupowana w sklepie, a ma się pewność, że jest sporządzona czysto i higjenicznie. Należy zawsze zostawić trochę kwasu od kapusty; kisząc kapustę, dodać pozostały kwas, a daleko prędzej ukiśnie.

KAPUSTA PRZECHOWYWANA W GŁOWACH NA ZIMĘ

Przechowywać najlepiej kapustę w głowach na strychu. Rozesłać na ziemi warstwę siana, poukładać kapustę tak, aby się głowy z sobą nie stykały i przykryć z wierzchu workami. W ten sposób przechowuje się kapustę do końca marca.

Kapusta przeznaczona na przechowanie powinna być gładka, zbita i nieuszkodzona. Listki wierzchnie trochę poczernieją i uschną, lecz w środku będzie biała i świeża.

JARZĘBIAK

Jagody jarzębiny zrywać należy wówczas, gdy je lekko mróz zwarzy, są wtedy mniej cierpkie. Wsypujemy jagody do blach od placka i wsuwamy do pieca lub rury, aby jagody nieco przewiędły, celem nabrania słodyczy.

Następnie należy jagody zsypać do butli (do połowy), nalewając do pełna dobrym spirytusem, oraz rzucając do zapachu korzeni, jak cynamon lub goździki. Po upływie dwu kwartałów będzie z tego znakomita wódka, bardzo mocna i przepięknego, jasno-czerwonego koloru. Chcąc mieć tę wódkę słodką, można dodać według smaku ugotowanego i sklarowanego syropu z cukru.

Gdy dla kogoś wódka ta za mocna jest na samym spirytusie, wówczas można ją rozcieńczyć, dodając na 1 l. spirytusu litr wody i syrop z ½ kg cukru.

NALEWKA JAŁOWCOWA

Nalewkę przyrządzamy w ten sposób: pół kg. dobrze dojrzałych jagód jałowcowych zalewamy 1 l. dobrego spirytusu i stawiamy na słonecznem oknie na przeciąg 3—4 tygodni; po tym czasie nalewka jest już dobra. Scedziwszy ją, dodajemy syropu z cukru. (Można syropu wogóle nie dodawać, a nalewkę używać wprost na cukier, po kilka kropel.

RYŻ Z GRZYBAMI

Udusić ryż pod parą (opłukany ryż rzucić na roztopione pół łyżeczki tłuszczu i zalać ostrożnie ciepłą wodą; przykrywszy szczelnie, podlewać co chwilę małą ilością wody, aby się nie przypalił). Ryż w ten sposób ugotowany jest sypki, smaczny.

Osobno ugotować grzyby w gęstym sosie lub zupę grzybową i podać z ryżem. Zestawienie tych dwu potraw jest bardzo smaczne.

GULARZ Z GRZYBÓW

Grzyby (jakiekolwiek) oczyścić, nasolić i odstawić na chwilę, poczem rzucić je na zrumienioną w maśle cebulkę, której może być sporo, posypać papryką, dobrze wymieszać. Bez żadnych dalszych dodatków smażyć grzyby we własnym sosie, na końcu oprószyć mąką. Jeżeli kto chce, można przed wydaniem podlać paroma łyżkami dobrej śmietany.

CZTERY ZALETY DOBREJ GOSPODYNI

Jeden z kobiecych tygodników francuskich ogłosił ankietę na temat: „Jaką powinna być dobra gospodyni". Z nadesłanych licznie odpowiedzi ustalono, że dobra gospodyni powinna mieć następujące zalety:

1) powinna być doskonałą finansistką, aby pieniądze, któremi rozporządza, starczyły na wszystko, co wchodzi w zakres kobiecego gospodarstwa.

2) powinna być pogodna i wesoła, gdyż tylko od pani domu zależy atmosfera, jaka panuje w rodzinie.

3) dobrą dyplomatką, aby wiedziała, jak należy postępować zarówno z mężem, jak i z dziećmi.

4) artystką — mieć poczucie piękna i zamiłowanie ładu i porządku, które powinno tchnąć z całej postaci gospodyni i z wnętrza jej domu.

Praktyczne rady i wskazówki

Plamy na marmurze zmywa się gorącą wodą bez mydła, — albo też wyciera się ostrożnie wełnianą ściereczką, zamaczaną w nafcie.

Gwoździe nie rdzewieją, jeżeli ogrzejemy do czerwoności, a następnie zanurzymy w oleju lnianym aż do ostygnięcia.

Kafle czyści się wełnianą ściereczką na którą dajemy trochę wilgotnej kredy szlamowej. Następnie zmywa się je letnią wodą z dodatkiem amoniaku i wyciera do suchości.

Naczynia miedziane czyści się sokiem z gotowanej kwaśnej kapusty z dodatkiem odrobiny popiołu, — poczem wycieramy je miękką ściereczką, aż nabiorą połysku.

Skórki irchowe czyści się w ten sposób, że najpierw otrzepujemy je starannie z kurzu, następnie nacieramy kawałkiem dobrego białego mydła i zanurzamy na dwie godziny w ciepłej wodzie z małym dodatkiem sody.

Następnie usuwamy przez pocieranie wszelki brud i obmywamy jeszcze raz w ciepłej wodzie z mydłem. Po wyciśnięciu w kawałku czystego płótna lub ręczniku należy je szybko wysuszyć.

Nie należy nigdy płókać w zimnej wodzie, bo skórka stwardnieje.

„Dyskutujmy!...“

W którymś z dzienników warszawskich pojawił się niedawno wierszyk, w którym anonimowy autor w sposób zresztą zgrabny i kulturalny sparodjował całodzienny program audycyj radjowych. Klasyczny persyflaż, ale podany we formie dość miłej, bez zbytniej złośliwości.

Wierszyk podobał się widocznie, bo kilka pism prowincjonalnych skwapliwie go przedrukowało. Istotnie dość zabawnie wyglądał ten bigos czy gulasz radjowy, gdzie po gimnastyce porannej następowały przepisy kulinarne, po płytach komunikat meteorologiczny i t. p.

Wierszyk spełnił swój cel bezpośredni: dał czytelnikowi moment zabawy. Ale pragnąłbym, aby anonimowy autor zadał sobie trochę trudu — i w następnym wierszyku (niechby zresztą było i prozą!) podał, jak *jego zdaniem powinien wyglądać taki klasyczny program radjowy, obliczony na pełne dziesięć godzin, czyli sześćset minut dziennie?* Jak go ułożyć, by zadowolił wszystkich, a nie mógł stać się tematem do złośliwych żartów i wierszyków?

I wątpię bardzo, czy w radjofonji *całego świata* znalazły odpowiedni wzór, wedle którego taki *idealny* program możnaby skonstruować.

Bo radjofonja szuka ciągle swych dróg. Nie skostniała w bezmyślnym szemacie. Stara się utrzymywać stały kontakt z życiem i jego aktualnemi potrzebami. Stara się zadowolnić wszystkich... *„nihil humanum ab se alienum putat“*,.. Czy jej się to udaje? Czy wogóle zdoła osiągnąć taki topień doskonałości, by nikt jej nie miał absolutnie nic do zarzucenia, nawet w okolicznościowym wierszyku? Wątpię bardzo!

W każdym razie stwierdzić trzeba, że dobrej woli i rzetelnych wysiłków w tym kierunku nie brak, — zwłaszcza o ile idzie o *radjofonję polską*. Wykazuje ona ogromnie dużo inicjatywy i zrozumienia dla zagadnień chwili. Co chwila przychodzi nam rejestrować *nowe próby i pomysły* w tym kierunku — a co ważniejsze, i *nowe sukcesy*.

Oto niedawno, w połowie października zainicjowano nowy typ audycyj, zatytułowany *„Dyskutujmy“*. Tak się niefortunnie złożyło, że pierwszych dwóch audycyj tego typu (nadawanych regularnie w każdą środę o godz. 17) słuchać nie mogłem.

Dopiero ostatnio, dnia 6 bm. zasiadłem przy głośniku o oznaczonej godzinie. Mówił jeden z najpopularniejszych w Polsce prelegentów: tajemniczy *„Stary Doktór“*. Mówił prosto, zwykłemi słowy o jakimś lekarzu prowincjonalnym, co lekko zbywał wszystkie raporty, ogólniki, statystyki, — a z chwilą wybuchu tyfusu plamistego w swoim okręgu, — bez pytania władz o pozwolenie, co gorsza, wbrew wszelkim obowiązującym przepisom sanitarnym, w własnem mieszkaniu zaimprowizował... szpitalik dla swych pacjentów tyfusowych. Oto typ *„Ciężkiego człowieka“*, jak go nazwał prelegent. Człowieka, co ciężko daje się nagiąć do suchej formalistyki, wypełniania „papierków“, — a zarazem ma dziwnie lekką rękę, o ile idzie o pracę ofiarną, niewdzięczną nawet, a jakże wzniosłą i szlachetną.

Temat, otwierający szerokie pole do dyskusji. Bo podobne typy spotykamy często, a narzekania na zabójczą formalistykę są na porządku dziennym. Gdzie kończyć się powinna konieczna karność i podporządkowanie się pewnym niezbędnym formom organizacyjnym, — a gdzie zaczyna się bezduszna formalistyka, krępująca inicjatywę „Ciężkiego człowieka“?

Jak pogodzić jedno z drugiem, jak trafić skutecznie do indywidualności „ciężkich ludzi“ podobnego typu, jednostek bezsprzecznie pożytecznych?

Te i tym podobne pytania cisną się mimowoli na usta każdemu radjosłuchaczowi, który w prelekcji tej nie szukał tylko strony anegdotycznej, lecz zastanowił się poważniej nad jej treścią i sensem. I taki jest właściwy cel tych audycyj: w starannie obmyślanej i opracowanej formie podsunąć słuchaczom materjał dyskusyjny.

Co więcej, radjo ułatwio tę pracę: w komentarzu do prelekcji usłyszeliśmy kilka pytań, naświetlających dane zagadnienie z rozmaitych punktów widzenia.

Oczywiście pytania te ani nie wyczerpują sprawy, ani nie mogą być uważane za bezwzględnie obowiązujące dla słuchaczy. Są raczej substratem, kanwą, na której można dowolnie snuć nić dyskusji. I taki jest właściwy cel prelekcyj *„Dyskutujmy“*: rozbudzenie zainteresowania większych grup osób tematami aktualnemi, danie inicjatywy do wymiany myśli przy głośniku.

Posiadają te audycje specjalną wartość dla „prowincji“, dla mieszkańców miast i miasteczek, w których życie umysłowe płynie bardzo wąskim i cichym nurtem, a materjału do dyskusji szukać się musi, z konieczności, w lokalu śniadankowym lub przy stoliku karcianym. Tam prelekcje *„Dyskutujmy“* wnoszą świeży, ożywczy powiew, otwierają nowe horyzonty, budzą z martwoty i bezruchu.

Ale i mieszkańcy dużych miast skorzystać mogą wiele z tych audycyj, — zwłaszcza gdy przed mikrofonem stanie popularny *„Stary Doktór“*. Bo poruszane przez niego zagadnienia mają zasięg ogólny i stoją pod znakiem aktualności. A chętnych do poważnej, rzeczowej dyskusji niewątpliwie nie zabraknie.

(LUCY)

Słowo wesołe i poważne

Tygodniową recenzję radjowych audycyj zacznijmy dziś od przeglądu audycyj wesołych i lekkich. Do omówienia mamy dwie Wesołe Fale i lekką audycję muzyczno - parodystyczną „Gwiazdy przez kalkę“. Fala p. t.: „Od pierwszego do pierwszego“, posiadająca charakter rewjowy, wypełniona była materjałem w miarę lekkim, w miarę wesołym; nie odznaczała się niczem szczególnem wprawdzie, ale jako lekka rozrywka spełniała swe zadanie. Zaś Fala następna, z przeszłej niedzieli, p. t.: „J e s i e ń p a n i e d e f a c t o“ przewyższała tamtą pod niejednym względem. A więc przedewszystkiem świetny monolog Strońcia, nie ustępujący mu jakościowo djalog Szczepka z Tońkiem i naprawdę wyróżniające się piosenki. Rzecz pozornie tak błaha, jak słowa do jakiejś piosenki, ma nie mniejsze znaczenie niż sama muzyka, do której jest tekst dorabiany. W tym wypadku wszakże słowa i muzyka walczyły o lepsze, w równej mierze zdobywając uznanie słuchaczy. Sensowną, zgrabnie i z humorem spreparowaną treść, uwypuklała wyjątkowo dobrze dostosowana do niej muzyka, pozbawiona męczącej — a ulubionej przez pewnych kompozytorów — wrzaskliwości.

Parodje znanych gwiazd filmowych i teatralnych w wykonaniu W ł a d y M a j e w s k i e j, wchodzące w skład niejednej Wesołej Fali, cieszyły się w światku radjowym nie małem powodzeniem. Zresztą zupełnie słusznie, gdyż Majewska istotnie ma specjalny dar podchwytywania i parodjowania pewnych charakterystycznych cech upatrzonych ofiar swego talentu. Tym razem w audycji „Gwiazdy przez kalkę“ (tekst słowny pióra W. Budzyńskiego) sprezentowała 12 gwiazd i gwiazdek scen i ekranów polskich i zagranicznych. Oczywiście, że nie wszystkie parodje były tak kapitalne jak Ordonki, Pogorzelskiej, czy Marleny Dietrich, lecz też tego wcale nie wymagaliśmy, a zawsze jednak nawet i te słabsze (jak L. Boyer) miały w sobie „coś“. Jedynie tylko niektóre miejsca tekstu domagały się trochę surowszej krytyki przed wygłoszeniem go przed mikrofonem, gdyż pewne „grubizny“ dowcipów, raziły swym mało wyszukanym stylem.

Inna — również lwowska — audycja „C h i ń s k i s e r w i s“, żart porcelanowy w/g Conwaya, to trochę banalna historyjka, uwieńczona podwójnie szczęśliwem zakończeniem: zdobyciem młodej żony i starego serwisu. Zbyt częste przenoszenie toku akcji z miejsca w miejsce, nie wpływało na całość dodatnio; był to jednak grzech samego autora, który niewiadomo czy spodziewał się, iż jego skecz zabłądzi aż do studja. Artyści z Krzemieńskim na czele „grali b a r d z o d o b r z e“, wlewając sporo życia w mało prawdopodobne sytuacje.

W pierwszych dniach lutego r. b. nadała rozgłośnia lwowska bardzo ciekawą i piękną audycję myśliwską. Obecnie powtórzono ją w trochę zmienionej postaci w dniu św. Huberta, t. j. 3-go b. m., ale znowu o porze niezbyt fortunnej. A szkoda, bo przez nadanie jej n. p. o godzinie 18-tej lub też 20-tej, umożliwiłoby się wysłuchanie jej znacznie większej ilości słuchaczy, niż o godz. 22-giej. Była to bowiem audycja naprawdę p i ę k n a i w a r t o ś c i o w a, opracowana i wykonana nadzwyczaj starannie i troskliwie.

Z wielkiem zainteresowaniem słuchaliśmy dwóch pogadanek: ks. H e j n o w i c z a o „M u z e u m o r m i a ń s k i e m w P o l s c e“ i dr. P. D ą b r o w s k i e g o o „I n t e r e s u j ą c e m d z i e c k u - j e d y n a k u. Ks. Hejnowicz mówił o jedynem i p i e r w s z e m nie tylko w Polsce, ale i Europie muzeum ormiańskiem, jakie powstało niedawno we Lwowie. Narazie jest ono jeszcze zamknięte dla zwiedzających, lecz ze słów ks. Hejnowicza wynika, iż wkrótce można będzie oglądać te bogate, a ciekawe zbiory. — Pogadanki dr. P. Dąbrowskiego powinni byli słuchać wszyscy rodzice, chlubiący się swoim jedynakiem czy jedynaczką. Choć napewno większość z nich nie wierzyłaby rozsądnym a prawdziwym — dla tego przykrym dla nich — słowom prelegenta; wynikało z nich, że dziecko chowane samotnie, r z a d k o k i e d y wyrasta na naprawdę wartościową jednostkę. Zapowiedziane dalsze tego typu pogadanki będą niewątpliwie równie ciekawe, jak ta pierwsza.

Na zakończenie wspomnę jeszcze w paru zdaniach o audycji jedynej w swym rodzaju, tj. o akcji „R a d j o - c h o r y m“. Zapoczątkował ją pięć lat temu ks. Michał R ę k a s, a jej wzniosły, tak ludzki i tak zbożny cel, zjednał tej akcji całe zastępy dobrowolnych współpracowników, propagatorów i ofiarodawców, nie mówiąc już nic o korzystających z jej pomocy. 1-go listopada świat chorych, zgrupowanych wokół tej akcji i zdrowych z nią współpracujących, obchodził piątą rocznicę pierwszej radjowej audycji o tym charakterze.

IRENA NAŁĘCZ.

K. SOBAŃSKA.

Głosy kobiet w radjo

Prawdziwą zasługą „Działu Kobiecego“ w Polskiem Radjo jest zaprowadzenie cyklu wykładów o zasłużonych kobietach. Prelegentki mówią nietylko o współczesnych, głośnych i uznanych sławach, lecz wydobywają z pyłu zapomnienia, czy też obojętności ludzkiej, postaci kobiet, które zasłużyły się w jakikolwiek sposób krajowi, społeczeństwu i jego kulturze. Często spotykamy się z nazwiskami, z zasługami niedocenianemi, z cichem bohaterstwem, z wiedzą, z patrjotyzmem kobiet, o których, prócz może kronik rodzinnych i garstki współczesnych, nikomu nic niewiadomo. A teraz, w tym ciekawym cyklu, stają przed nami żywe, ujęte w ramy zwięzłych, kilkuminutowych pogadanek i budzą prócz szczerego podziwu, głęboką radość, że to właśnie Polki.

W październiku dała Marja Karczewska niezwykłą postać A n n y z S a p i e h ó w J a b ł o n o w s k i e j, zaznaczając na wstępie, że gdyby Jabłonowska była cudzoziemką, sława jej rozeszłaby się po całym świecie. A tak, nietylko społeczeństwo polskie, ale nawet kobiety nic o niej nie wiedzą, jakkolwiek była jedną z najwspanialszych postaci wieku ośmnastego i społecznicą w wielkim stylu. Objąwszy po śmierci męża majątek w własny zarząd, dała się poznać jako niezwykle uzdolniona reformatorka stosunków wiejskich i gospodarczych, jako genjalna organizatorka i pisarka. Jej ośmiotomowe dzieło „Ustawy dla dóbr moich rządców“, doczekało się wkrótce drugiego wydania, co na ówczesną epokę było niemałym tryumfem dla autorki. Ponadto pisywała liczne bieżące artykuły treści społecznej, etycznej, higjenicznej i gospodarczej. Trudne obowiązki związane z administracją rozległych dóbr nie przeszkadzały jej w pracy społecznej. Rozumnym i przewidującym jej zarządzeniom podlegały nietylko własne jej majątki, ale sąsiednie wsie i miasteczka. Jakkolwiek nie uwłaściła swoich włościan, niemniej jednak starała się usilnie o poprawę ich doli, zmniejszyła pańszczyznę, obniżyła ciężar świadczeń w naturze i dbała o nawiązanie harmonijnych stosunków między dworem i pracodawcami, a wieśniakami. Potworzyła w każdym kluczu samorządy i utrzymywała z nimi kontakt przy pomocy sesyj, raportów, wydawania rozporządzeń. Z jej inicjatywy powstawały liczne instytucje społeczne, Kasy Oszczędnościowe, pożyczkowe i posagowe, kursy rolnicze, gospodarcze i ogrodnicze. Wielką jej zasługą były kursy dla położnych na wsi i rozporządzenia higjeniczne, tępiące brud, a propagujące czystość osobistą i wewnątrz mieszkań.

Słuszne spostrzeżenia na temat niedomagań w zawodzie kupieckim i nieporozumień z klientelą — wygłosiła Halina Mamelokowa, w prelekcji p. t.: „N a s z k l i e n t — n a s z p a n“. Wina tego stanu rzeczy leży po obu stronach: kupiec i jego personel nie jest dostatecznie przygotowany do swego zawodu i nie liczy się z potrzebami kupujących — a ci ostatni nie umieją dopominać się stanowczo o respektowanie słusznych żądań.

„S ł u c h a m y o d c z y t u r a d j o w e g o“ — czyli, jak go słuchają kobiety z różnych środowisk, przedstawiła pani Skarżyńska. Źle w tem naświetleniu wygląda i modna dama i szara, zapracowana w domu kobiecina i wiele innych. Dopiero młode pokolenie okazuje głębokie zainteresowanie sprawami społecznemi. Rozumie ono, że poza osobistemi sprawami i bólami istnieją inne, o wiele ważniejsze problemy, wobec których nie wolno nikomu mówić: „co mnie to obchodzi“ i trzymać się zdala od nich, lecz trzeba zgłosić się do czynnej współpracy.

Apoteozą zakładania obozów była pogadanka pani Ćwirko-Godyckiej: „N a s z p i e r w s z y o b ó z“. Gorycze i trudności pierwszych kroków w przystosowywaniu się do zmienionego trybu życia ustępują wkrótce miejsca zachwytowi i rozmiłowaniu się w życiu obozowem, które hartuje nietylko fizycznie, ale i duchowo wyrabia.

Oszczędność — temat najaktualniejszy na całym chyba świecie — poruszyła pani Korzyzma. Na sylwetkach „k o b i e t y s k ą p e j i o s z c z ę d n e j“ wykazała, że o ile krótkowzroczne, małostkowe skąpstwo zatruwa życie rodzinie i hamuje ogólny dobrobyt — o tyle rozumna oszczędność ułatwia życie i staje się podstawą dobrobytu nietylko jednostek, ale całego kraju.

Pani Lisińska zaznajomiła słuchaczki szczegółowo z przepisami prawidłowego „m a g l o w a n i a i p r a s o w a n i a“. Natomiast nie wyobrażam sobie jakichś realnych korzyści z nauki trykotarstwa przy pomocy radjowych wykładów, ponieważ pokaz praktyczny jest w tym przypadku niezbędnym warunkiem.

Na zakończenie pragnę zwrócić uwagę niektórych prelegentek na obowiązek przestrzegania czystości języka ojczystego. Gdy przed kilku miesiącami zacytowałam błędy językowe i dzielnicowe popełniane systematycznie przez autorkę cyklu prelekcyj dla młodych dziewcząt — dowiedziałam się, że „audycje, to nie literatura, ale żywe rozmowy, w których język literacki nic nie ma do roboty“. Obecnie po przeczytaniu uwag pewnego krytyka, który wyrażeniu „miało miejsce“, wyłapanemu w dwóch audycjach, poświęcił osobny artykuł — zachęcona tym przykładem apeluję ponownie do pań prelegentek, (tym razem działu praktycznego), ażeby zechciały zarzucić wyrażenia przeniesione żywcem z żargonu uliczno - kuchennego. Autorki tych pogadanek muszą zrozumieć, że nie o język literacki idzie, ale o poszanowanie czystości mowy polskiej, której krzewicielem powinno być Polskie Radjo